



PISMO ILLUSTROWANE DLA RODZIN.

Nr 41.

Warszawa, dnia 2 (14) Października 1875 roku.

Rok 11.

CENA PRENUMERATY

Warszaw. z odn. do domu	na prow. w Cesar. i Królest.
rocznie rs. 6 k. „	rocznie rs. 8 k. —
półrocznie 3 „ „	półrocznie 4 „ —
kwartalnie 1 „ 50	w Austrii roczn. 14 guld.
miesięcznie „ 50	w Prusach „ 24 marek.

OPIEKUN DOMOWY

wychodzi raz na tydzień, we Czwartek

REDAKCJA PRZY ULICY NOWY-SWIAT

NR. 72 NOWY.

Skład Główny w Warszawie, w Księgarni A. Kowalskiego przy ulicy Nowy-Swiat Nr. 39 nowy; w Poznaniu w księgarni Leitgebra i Spółki, we Lwowie w Księgarni polskiej, ulica Kopernika Nr. 12, w Krakowie w księgarni A. Nowoleckiego w Wilnie, u J. Zawadzkiego.

NUMER POJEDYŃCZY KOP. 15.

TREŚĆ. Bony, przez J. Jeleńskiego. — Wczoraj i dziś (dokończenie). — Korespondencja z Paryża. — Ślady życia. XLI. — Beethoven, przez Ernesta Ortlepp. — Staw księdza Opata, przekład z angielskiego (dalszy ciąg). — Biblioteczka domowa: Zwycięstwo Heleny, powieść. — Drzeworyty: Zamek Wyszehrad. — Grobowce na Wawelu w Krakowie. — Pastuszek w Tatrach.

BONY.

Nieprawdaż czytelniczko że sam wyraz: „bona,” dobre i jakby efektowne robi u nas wrażenie?

Wszakże dzieci „pod okiem bon” wychowywane, to już muszą być dziećmi do wyższej klasy należące; to słowem coś „lepszego,” coś co do dobrego tonu i arystokratycznych manier należy.

O! bo i o tem wiesz zapewne czytelniczko łaskawa, że u nas dla „dobrego tonu,” dla „szyku” wiele bardzo się robi.

Dla „szyku” zanie dbuje się nieraz najdroższe skarby uczuć rodzinnych, dla „szyku” odpycha się od siebie święte obowiązki matki, dla „szyku” wykoszlawia się zawczasu wychowanie dzieci, dla „szyku” więc wreszcie płaci się i utrzymuje bony.

Bądź co bądź jednak, czyby nie należało zastanowić się nad pytaniem: czem właściwie jest bona — i jakie jej stanowisko, nieze względów „dobrego tonu” ale z racjonalnych zasad pedagogiki w społeczeństwie przypada? Sądzimy, że zastanowienie się podobne matek zwłaszcza naszych, nie byłoby od rzeczy i dla tego też, chcielibyśmy w kwestyi bon wypowiedzieć słów kilka.

Mimo długiego zanie dbania, pedagogika, podniosła się już u nas o tyle, że kwestyja: czem jest *pięcioklasowe* wychowanie dziecka, nawet dla mniej rozwiniętych umysłów, nie przedstawia się bynajmniej w formie niedostępnej tajemnicy książkowej; a chociaż kwestyja tę rzadko kiedy umiemy zastosować

w praktyce, to jednakże w teorii pojmujemy ją najwięcej w sposób arcy-poważny i mniej więcej wszyscy.

Nie wreszcie dla matek naszych łatwiejszego, jak przy lada sposobności rozwodzić się nad wielkością zadania, jakie na niej wkłada, stawianie pierwszych kroków dziecięcych, nad ważnością i doniosłością pierwotnych macierzyńskich trudów i t. p.

Zamiast więc powtarzania w kwestyi pierwotnego wychowania oklepanych teorii i ładnie brzmiących... frazesów, wolimy natomiast zaznaczyć wprost, że w wychowaniu tem właśnie, bona pierwszą po matce i bodaj czy nie ważniejszą w wielu razach obejmuje rolę.

Bona bowiem w owej najważniejszej epoce fizycznego i moralnego rozwoju każdej istoty ludzkiej, staje się nieodstępną towarzyszką wychowanka, a towarzystwo to właśnie wywiera stanowczy nieraz wpływ, na przyszłość i charakter dziecka. Bona nie wiedząc nawet niestety o tem, zaszczenia w młodocianej duszy pojęcia, których później żadna siła może nie wyprze, bo zaszczenia je wtedy, kiedy wyobrażenia w całej duchowej atmosferze wychowanka jest wszechwładną panią i kiedy wszelkie wpływy i wrażenia pierwotne najtrwalszemi się stają.

Dzieci w czasie powierzania ich bonom bywają „najciekawsze,” zarzucają więc swoją towarzyszkę mnóstwem najrozmaitszych pytań; ważną więc bardzo jest rzeczą, w jaki sposób pytania te zaspokojone być mogą. Bona więc słowem może najłatwiej na umyśle i charakterze powierzonej sobie istoty odcisnąć albo dodatnie, albo ujemne a stanowcze zazwyczaj znamię i z tego też względu stanowisko jej w obec kwestyi pierwotnego wychowania, nabiera doniosłości której chyba tylko krańcowe zaco fanie i apatyczna ślepotą nie zechciałyby uznać.

Naturalnie niepodobna jest żądać i nie wymagamy też bynajmniej od bony, wysokiej inteligencji ani systematycznego wykształcenia bo posiadając warunki te, każda bona nauczycielką przecież zostaćby wołała; ale koniecznem jest aby każda bona, obok średniej inteligencji i średniego wykształcenia ogólnego, odznaczała się przytem przymiotami charakteru i serca, jakich zadanie jej z samej natury rzeczy i bezsprzecznie wymaga.

Bona, obok cierpliwości, jak największej dozy zdrowego rozsądku, wreszcie łagodności i t. p., musi być nadto przejęta miłością nie tylko powierzonych sobie dzieci, ale miłością wszystkiego co dzieci te otacza, i wprost czego w przyszłości żyć i pracować mają, miłością przeto *wszystkiego co rodzinne i swojskie*.

Tych to przymiotów i warunków nie już względy czysto pedagogiczne, ale sama choćby rozsądna miłość rodzicielska od bon wymagać się zdaje, a czy wymagają ich właśnie i o ile rodzice nasi?

Ha... zobaczymy to bliżej na pierwszym lepszem przykładzie.

Państwo Q są średniej zamożności właścicielami ziemskimi. Mają troje dzieciątek z których najmłodsze, dajmy na to cztery, najstarsze sześć lat liczy. Pani Q nie może sobie „dać rady z dziećmi” potrzeba jej więc bony i dla zaradzenia potrzebie tej wypisuje pierwszą lepszą Szwajcarkę, Francuzkę lub Niemkę.

Szwajcarka wprawdzie doifa sobie do niedawna jeszcze szwajcarskie krówki, Francuzka była dość zręczną „kawiareczką” w Pa-

ryżu, Niemka gotowała niemieckie wasserzupki w jednej z restauracji berlińskich, ale to wszystko nie przeszkadza aby jedna z tych zagranicznych „znakomitości“ nie miała przyjąć u państwa Q. obowiązku „dobrzepłatnej“ bony. Państwu Q nie idzie zresztą bynajmniej o kwalifikację wychowawczą jakie bona dla dobra ich dzieci posiadaćby powinna, bo państwo Q chcą tylko aby ich Kazia, Janio i Zygmunt wyuczyły się „choć jednego“ z obcych języków.

Jaka to będzie mianowicie owa nauka, „jednego z obcych języków“ czy będzie grunto-wniejszą i długotrwałą, czy w późniejszym kształceniu przyda się na co, i czy nauka ta wreszcie nie forsuje zbyt wcześnie pamięci dziecka, ze szkodą umysłowych władz innych, w to wszystko państwo Q, nie wchodzi wcale, bo też co prawda, to i nie znają się na tem zbyt wiele.

Niemka tedy czy Szwajcarka opiekująca się przed chwilą kuchnią albo krowiarnią, obejmuje teraz wychowawczą opiekę nad dziećmi, i... uczy je; ale czego właściwie? Niby to papu-ziej paplaniny „obcym językiem“ a właściwie uczy przy każdej sposobności, lekcje wazienia jeżeli nie pogardy tego co krajowe, co nasze.

Dla Niemki wszystko np. co nie traci Berli-nem nie ma żadnej zgola wartości; dla Fran-cuzki znów tylko paryzka kawiarniana blaga przyswieca; wszystkie więc zagraniczne te gu-sta, wsiakają w rozwijające się umysły pupil-łów, wyrabiając w nich zawczasu obojętność dla własnego gniazda.

Przyznacie zapewne czytelnicy, że przykład taki nie jest bynajmniej naciągnięty; że ra-czej wziętym on jest wprost z życia, i że przykładów u nas podobnych na tysiące li-czyćby można.

Nie mówiąc już bowiem o szczupłej zresztą sferze spruchniałej naszej „arystokracji“, gdzie każde dziecko zostaje pod opieką kilku naraz zagranicznych indywiduów, i gdzie zre-sztą zagranicomanija pochłania wszystkie oby-wateelskie uczucia, pomijając już mówimy, kos-mopolityczną tę sferę, manija przyjmowania bon zagranicznych panuje już obecnie i w ca-łej warstwie średniej, społeczeństwa naszego.

Średni obywatele ziemscy, średni przemy-słowcy, ba... i średni już nawet urzędnicy, od-dają w opiekę swe dzieci zagranicznym bonom lub guwernantom, wyrządzając tym sposobem nietylko dzieciom tym, ale i ogólniejszym inte-resom społecznym, ciężką zaprawę i dotkliwą krzywdę.

O bok choroby ogólnej, „zagranicomanija“ zwanej, wpływa tu nie mało i to fałszywe prze-konanie, że w dzieciństwie nauka obcych ję-zyków najłatwiej ma przychodzić i że tanim stosunkowo kosztem nabyć jej można.

Co do „łatwości“ owej nie chcemy się bynaj-mniej spierać i gotowiśmy jej nawet przyznać *względna* rację; lecz pytamy znów, czy wiele znajdzie się dzieci któreby w czasie dalszego kształcenia się nie zapomniały tego czego od zagranicznej bony nauczyć się zdołały? i czy tym sposobem owa „łatwa“ nauka, nie poszła łatwiej jeszcze na marnel.

Czy wreszcie, jak to już napomknęliśmy wy-żej, pamięć dziecka obciążana w epoce najżyw-szego rozwoju wszystkich jego organów, wy-

rabiała się nie ze szkodą daru samoistnego my-slenia i intelligeneyi prawdziwej?

Zdaje się że wszystkie te pytania godne są ze strony rozsądniejszych przynajmniej matek naszych, bliższej nieco uwagi i że owa manija sprowadzania bon zagranicznych, raz przecież ustaćby winna.

„Jakto!? więc wcale bon nie trzeba?“

Przeciwnie, bony są potrzebne, ale bony Polki. Dziś wprawdzie takich to jest tutejszych a odpowiednio uzdolnionych kandydatek na bo-ny nie wiele u nas się trafia; alebo też tak zwy-kle bywa, że to co tutejsze na ostatnim planie się stawia.

W obec szerokich prerogatyw jakimi lada pokojówka zagraniczna u nas się cieszy, bony natomiast Polki, chociażby z lepszym nawet wychowaniem i uzdolnieniem, są trakto-wane jak „zwyczajne zera“, jak wszystkie inne najzwyczajniejsze pokojowe czy kuchenne „służące“.

Takistań rzeczy żadnej chyba porządniejszej i więcej jakoś ogólnie ukształconej kobiety do obowiązków bony zachęcić nie potrafi a takich właśnie kobiet to jest takich bon Polek, wiele u nas znaleźćby się mogło.

Wiele np. bezdzietnych wdów po urzędni-kach, wiele nawet ex-obywatelek ziemskich nie odpychałyby z pewnością stanowiska opie-kunek i dozorczyń dzieci, gdyby wiedziały tyl-ko że na stanowisku tem nie będą poniewie-rane, że przeciwnie traktowane będą *po ludzku*.

Potrzeba więc tylko aby matki nasze dla do-brawłasnych dzieci i dobra społeczeństwa wła-snego, z bezcelowym zwyczajem protegowania i karmienia cudzoziemskich nabytków, rozstać się chciały i aby tym sposobem wyrobiła się klasa odpowiednio uzdolnionych bon Polek a wówczas nie tylko cała sprawa pierwotnego wy-chowania, ale cały może obszar dróg i celów społecznych wiele mógłby skorzystać.

Jan Jeleniński.

Wczoraj i Dziś

(z notatek uniwersyteckich swojego kuzyna)

przepisał
Stanisław Wolski.

(Dokończenie).

Takie to były nasze obiady, gdzie odży-wiając ciało żyliśmy w towarzystwie wesoło, kształcili i ćwiczyli umysł i żyli jak żyć po-trzeba. Czy w ciągu późniejszego życia mie-liśmy kiedy tak poetyczne tak pouczające obiady?

Tego dnia kiedy długi Adaś był u mnie rano, zebraliśmy się prawie wszyscy u pani Piotro-wej, bo brakowało tylko Adasia i Józia Nr. 1. Obaj umyślnie nie przyszli aby uniknąć nie-przyjemnego spotkania. O zajściu pomiędzy niemi wiedzieliśmy wszyscy; gdy więc byli-śmy w komplecie, zabrałem głos opowiadając o dzisiejszej rannej wizycie.

U mnie był znówu Józio Nr. 1, wyrzekł Gu-cio i słowo w słowo powtórzył to co Adaś.

— Co robić! Corobić, zawołali wszyscy, wa-ryjaty chłopaki zrobili burdę, a studenci, a przyjaciele rozumu i wiedzy, to się nie godzi.

— Panowie, mówił Julek, ponieważ Adaś i Józio zbyt blisko nas obchodzą nie możemy się rozejść, aby coś nie postanowić. A że w chaosie do niczego dojść nie można, po ko-lei będziemy wygłaszać swoje zdania. Proszę o spokojność—Karolu rzekł, obracając się do mego szlafkamrata, ty masz pierwszy głos.

— Mnie się zdaje, rzekł Karol, że kiedy po-szło im o pannę, która tak dobrze mogła ko-chać jednego jak drugiego, dziwny jest Józio, że mógł zrobić impertynencyją Adasiowi. Otóż proponuję aby Józiowi jako gorętsze mające-mu krwi za dużo, upuścić jej konieczne trochę; niech więc przeprosi w obec nas wszystkich Adasia.

— Nie, nie, to bezskuteczne, zawołano.

— Józiu Nr. 2. Co powiesz na obronę swego imiennika, odezwał się Julek znówu.

— Mnie się zdaje, odpowiedział zapytany, że pojedynek jako zasada przeciwna, miejsca mieć nie może, barbarzyństwo to śre-dnich wieków—nie więcej. Wina była ze stron obu; złożymy sąd, bliżej sprawę rozpatrzmy i ukarzymy winowajców.

— Gada jak prawnik, krzyknął przerywając Gucio, barbarzyństwo, średnie wieki, sąd, bli-ższe rozpoznanie, wszystko to czeze słowa, cóż więc zrobisz jeżeli się znajdziesz w podobnej okoliczności jak Adaś, jeżeli ci ktoś zarzuci nieuczciwość, fałsz i obłudę?..

— Ale to widzisz sprawa między kolegami, wtrącił Staś na to.

— Co tam koledzy, krzyczał Gustaw, obra-za jest, obraza obustronna, o nadeptanie na nogę się nie strzelam i zwady z nikim nie szu-kam, ale jak tu, Adaś postąpił nie po koleżeń-sku, grzech i pierwsza obraza. Józio mu głupstw nagał, druga obraza, dwie obrazy dadzą trzecią obrazę, bo mniej przez mniej da więcej, postrzelają się i kwita, bo trudno przypuścić aby jeden usprawiedliwiał się ze swych czynów i przeproszał drugiego.

— Zawsze gorący, mówił Oleś, ale z poje-dynku to i śmierć bywa; niech się strzelają puste jarmarczne głowy, którym żyć lub nie żyć wszystko jedno na świecie; niech oni stają naprzeciw nabitych pistoletów ze spokojną miną, co im po życiu kiedy go nie rozumieją a jaka po nich szkoda gdy znikają z między nas; wiedzą o tem, że nie potrzebni, nieodezu-wają, że wpół drogi wstrzymani, zawsze na coś przydać się mogli. Bezmyślne pasorzyty, ży-jące cudzą pracą, puste lalki gadające ciągle o honorze a nie mające go za trzy grosze. Ci niech się strzelają, im wolno, ale nie nam. My mamy obowiązki, każdy z nas choć w części wie po co żyje na świecie, każdy z nas wie, że życia bezkarnie na wolę wiatrów się nie daje; nie należym do siebie, nasza praca i zdol-ności dla drugich i my tu akademicy wyjeź-dzamy z honorem i pistoletami. Tu jest prosta rada, oba fryce, kapitalna kompensata; cichosza, nic o tem, podadzą sobie ręce i rzecz skończona.

— Nie, to także nie, zdecydował Julek. Przeciwno pojedynek jestem i ja stanowczo. Nasze wzajemne obrazy, są pomiędzy nami; świat o nich nie wie, wpływamy na tych o któ-rych w tej chwili mówimy i pogódźmy ich ze sobą, tak pogódźmy i nie więcej, bo zwady między nami być nie może, bo pracując jako

pionierowie w świątyni światła nie możemy go zaciemniać i brudzić. Czy ma który z panów co przeciwko temu? Nie! nie! zawołaliśmy chórem zentuzyjmowani przemową Julka; zgoda; zgoda i miłością panowie, przez świat pełen brudu i zgnilizny, myśmy tu najlepsi bo do nas brudne życie, bo wszystko co złe jeszcze nie przylgnęło do nas, więc tylko zgoda; przyprowadzić Adasia i Józia. Rozbiegliśmy się szukać poważnionych, prawie jednocześnie zeszli się obaj. Julek tylko parę słów do nich przemówił, rzucili się sobie w objęcia i... przebac! przebac! oto wszystko cośmy usłyszeli mogli.

IX.

W dwa lata później.

Ciekawy nie jeden jak wyglądaliśmy dwa lata później i czy nas nbyło? czy przybyło? czy kochaliśmy się jak dawniej szczerze, serdecznie? Ze smutkiem odpowiem, nie zupełnie. Dla czego? bo postarzelśmy, spowaźnieli, bo poznaliśmy niestety, że nie tak jest dobrze jak nam się na początku wydało, bo jednym słowem było to w dwa lata później. Dwa lata powie nie jeden, co to znaczy dla młodego człowieka. Bardzo przepraszam was panowie, początek i koniec studiów uniwersytetu to różnica tylko lat czterech, wchodzimy doń dziećmi, ludźmi wychodzimy. Jako dzieci i młodzieńcy rwiemy się do życia do czynu, stroimy w ideały najprozaiczniejsze istoty, jednym słowem żyjemy życiem o jakim zapomniawszy starsi już go potem nie rozumieją. Wielkie cele, wielkie zamiary, wielkie pojęcia o wszystkim, z czasem tak niestety maleją, że strach mówić doprawdy o tem. Proza to codziennego żywota taki piekielny wywiera skutek, a im dalej w las tem więcej drzew.

Czy i nasze gronko przy końcu uniwersyteckich studiów zawinęło też już do bezpiecznej przystani i spokojnie patrzy na rozrukane i wzburzone fale życia? Potrochu! Zostało nam jedno: kochaliśmy się stale między sobą i ustaliliśmy się wszyscy być porządnymi ludźmi. Niektórzy zostali jak byli, z młodzieńczą ochotą a z doświadczeniem i nauką dojrzałego człowieka.

Wszyscy wiedzieli, że żyć to nie żartować, że dobrze żyć bardzo trudno. Ze wszystkich najmniej zmienił się Julijan. Ludzkość, to moja kochanka, mawiał, innej nie znam, dla niej żyję, braćmi moimi wszyscy, a szczególnie wy, których tak kocham, którzyście warei tego. Jakże on się też wywiązywał tej ludzkości, tej swojej kochance?.. Skromny aż do przesady, skierował wszystkie siły ku temu, aby duchowi dać jak największe sily woli i potęgi, aby nie zgiąć wśród drobnych przeciwności, naznaczyć wieczną pamięć posobie. Pracował też dużo, czytał dużo; pomimo zajmowania się naukami przyrodzonymi, okazywał wiele gustu do literatury pięknej. Jego drobne utwory pomieszczane w pismach peryjodycznych odznaczały się pięknym językiem. Będąc na drugim kursie napisał konkursową rozprawę i dostał złoty medal. Potem wkrótce wydrukował jedną i drugą rozprawę z dziedziny psychologii, tak że wychodząc z uniwersytetu był już znany literackiemu światu. Zawsze ten sam, zawsze nie

wiele mówiący, a wiele czyniący, był wzorem dla nas wszystkich.

Oleś prawie nic się nie zmienił, albo raczej zmienił się bardzo, bo swoje pojęcia i przekonania podniósł do potęgi; nie nawidził ludzi ciskał przekleństwa na system spofeczeństwa, ciągle jeszcze marzył o jakiejś wyspie utopii, ale już słabiej, do życia praktycznego nie zdradzał żadnej ochoty.... Był teoretykiem w całym tego słowa znaczeniu. Ot tak zasiąść przy lampie, to i całą noc przesiedziałyby nad rozwiązaniem jakiego trudnego matematycznego zadania, z którego nie nikomu nie przyjdzie. Ale dodać dwadzieścia kolumn lub spisać choć raz swoje miesięczne wydatki dotego nigdy go napędzić nie mogłeś. Taka już była natura.

Staś był zawsze mały, zawsze mizerny, potulny, uczący się, sarkastyczny tylko więcej niż dawniej. Co chował na dnie serca, tego odgadnąć trudno. Przeczuwał jednak nie jeden, że Staś daleko zajędzie, że ma dużo praktycznego zmysłu, że dużo umie, że coraz mniej porusza kwestyje ogólne, a przechodzi do kipiącego życia. Kończył prawo, niewiedzieliśmy co jeszcze przedsięwzięcie. Czuliśmy jednak że mu źle nie będzie na świecie, bo rachować się będzie ze wszystkimi. Ku końcowi uniwersyteckich studiów mówiliśmy tylko *majster* albo *praktyczny*.

Alfons był teraz jeszcze poważniejszy; zawsze enotliwy, stały, jak Kato niewzruszony a surowy. Co było ładnego i przyjemnego z uniwersyteckiego życia tego nie wziął, ale co ciężkie to dźwigał, co twarde to gryzł. Kłócił ręce, suszył głowę, a z raz obranej drogi nigdy nie zboczył. W uniwersytecie utwierdził się w tem przekonaniu, że życie to szereg trudnych obowiązków, którym nigdy zadość uczynić nie możemy.

Miecieo był słaby jak wchodził, potykał się kilka razy, ale zawsze dość zwyczajko wychodził z tych młodzieńczych potyczek. Ostygł trochę, nie przykryli mu się ludzie, uznawał już więcej dobrych stron, ubierał się porządniej, nosił kapelusz wysoki i rękawiczki, których za żadne pieniądze nie byłby włożył na pierwszym kursie, mniej się kłócił, próżnował trochę, ale że był bardzo zdolny więc nie pracując dużo, umiał wiele i miał dużo pretensyj do znajomości przedmiotu. Był prawnikiem, lepiej powiedzieć ekonomistą. Traktował z tej strony społeczeństwo, badał je i nauki prawne były mu tylko pomocą w projektach nad podniesieniem ogólnego dobrobytu.

Józio Nr 1. Po wykośnaniu się i przeprosinach wziął się szczerze do pracy. Inni szli dawną koleją.

Znów czerwiec, znów słońce świeci pogodnie, znów jesteśmy razem; po skończeniu trudnych egzaminów, każdy swobodniej oddycha. Jesteśmy w dziedzinie uniwersyteckim. Gdzież Adaś, powiadają, kończy egzamin z prawa policyjnego, ale oto jest. No cóż? Dobrze. Chwalić Boga. Więcemy w porządku. A teraz cóż, pyta jeden drugiego? Zastanowiliśmy się wszyscy. Wyjeżdża który za granicę? pyta Oleś. Nie, jak na teraz nikt, wołamy. Panowie pamiętacie, mówi Alfons, dziś lat cztery akurat, jak raz lat cztery, mój Boże, cztery lata; i westchnął nie jeden i zrobiło się na chwilę cicho między bracia. Każdy pobiegł ze swemi

myślami za tym upłynionym bezpowrotnie czasem, każdy zrobił w duszy rachunek sumienia, zastanowił się czy nie zmarnował czasu i pomyślał co pocznie dalej. Żaden głos wewnętrzny nie rozwiązał pytania. Co teraz, co teraz? powtórzyliśmy bezmyślnie po kilka razy. Teraz życie i chleb powszedni, mówił Alfons. Nie, teraz używać i bawić się, krzyknęli razem Miecio i Karol. Tak, tak, po co łamać głowę nad tem, co tam potem będzie, i zanuciliśmy chórem ulubioną zwrotkę:

Gdy jednemu choć zostanie
Niedopita kropla w dzbanie.

Gdy przyszło do zakończenia „dyabłów pięć“ Karol tak dosadnie oddał myśl Gabryeli, że aż przechodzący przystanęli. Cóż teraz? znów pytaliśmy się po chwili jak dzikie araby w pustyni, gdy piasek im drogę zasypie. Cóż teraz? Jedźmy na wieś, podreperujmy się, potem pogadamy. A dziś panowie, krzyczał Karol, biba jak temu lat cztery, tylko spodziewam się lepsza trochę jak tamta ze słowikami i mową szanownego Julijana o obowiązkach młodzieży. Bóg ci zapłać dziś bez bżów, bez słowików i bez mowy, tylko raki, mięso i jaka butelka, każdy wiek ma swe prawa, dziś już więcej na to zważamy. Pozwolicie, że sam zanominuję się podstolim czy podstarościm, zawsze jakim „pod“ i zaproszę was dziś na składkową kolacyjkę do Z. Nie, nie, tak jak cztery lata temu, w tem samem miejscu u C., mówił Guccio, przypomnim sobie lepsze czasy. Lepsze nie lepsze, mówił Adaś, dziękuję za nie; takim kontent, że raz mam prawo cisnąć w kąt książkę i zajrzeć do żywych obrazków.

Więc dziś wieczór, dobrze, dobrze, wołano.

Kiedysmy wieczorem tego dnia znaleźli się wszyscy w cichym ogródku u C., zadrgały serca na nutę jakiejś dziwnej zamierzelej piosnki, niesprawdzonych snów złotych, nie-realizowanych chęci. Nie przyznawaliśmy się w duchu, ale każdy żałował przeszłości, bo każdy myślał, że drugi raz lepiejby poszedł po tych krętych ścieżkach żywota. Staliśmy smutni i zwarzeni jacyś. No panowie, nie tu miejsce na rozmyślanie. Przed nami świat, za nami wspomnienie, mówił Oleś. Spodziewam się, że kolacyja zadysponowana przez Karola, zadowolni podniebienia popsute obiadekami kochanej pani Piotrowej. Zasmiano się chórem. Ciekawym też bardzo za lat tak 15 lub 20 kto z nas będzie najwyższym, mówił Guccio, a my mimowolnie zwróciliśmy oczy na Julka. On, on, zawołaliśmy chórem. Tak, w tem znaczeniu jak wy myślicie, ale ja tu coś innego miałem na myśli wyrzekł Gustaw, jam ciekamy kto też to nie duchem, ale ziemską potęgą stanie najwyższ, kto będzie wypożyczać pieniądze i jeździć powozem. No to mały Staś, odpowiedzieliśmy, i ty i ty, wołaliśmy jeden do drugiego; każdy znał drugich nie znał siebie, to trudniej daleko. A który z nas najdłużej zagości na tym padole płaczu, mówiąc językiem bogów, mówił Karol. A który najkrócej, tu Miecio wskazał na siebie.

Przeskoczyliśmy do czego innego, smuliliśmy projekta częstego komunikowania jeżeli będziemy razem, częstych listów eżelin asł osy rozdzielą, zrobiliśmy projektów bez liku, wierzyliśmy jeszcze trochę w świat i ludzi, więc smutek trwał krótko i kiedy kureczeta z tryumfu-

jącym Karolem na stół wjeżdżały, było wesoło, bardzo wesoło.

Kurczęta, raki, śmietana; szparagów nam brak,, gdzie kucharz wołano, a macie jednego, jeden ale duży, rzekł Karol pokazując na Adasia, wesoły śmiech był odpowiedzią na tę zaczepkę. Ale i wołowiny nie ma, odciał się Adaś pokazując na Karola. No i wołowiny i szparagów i dużo rzeczy nam brak, wołaliśmy. Dużo, ale akademicy, nie dziwnego. Zdrowie akademików i ich uczciwych i zacnych zamiarów, rzecze Gucio. Nie, nie akademików. Zdrowie nas wszystkich, którzy tu jesteśmy,

W snach moich widzę was tylko w około siebie, wtędy szczęśliwy, wtędy odycham lżej gdy mię otaczacie, gdy słyszę głos wasz, gdy usta wasze szepcą mi słowa zachęty i miłości a oczy wasze powtarzają mi postokroć: bądź szczęśliwy. Nie mam was, samotny wędrowiec błąkam się po manowcach życia, myślę o was, to mnie umacnia, to otuchy dodaje, że niezbaczam z drogi obowiązku, że nie padam w pół drogi.

Gdzieżecie wy? Świat rozebrał was między siebie, jak rozbierze wiatr listki na jednej uwitej gałązce i poniesie w różne strony. Nie ma was i tęskno mi bez was.

mi wiadomość, że każdemu ciężko. że wywalczając sobie stanowisko i chleb, to nie tak łatwo jak nam się z początku zdawało.

Niedawno dopiero, bogi poniosły mię do Warszawy. Pragnąłem zobaczyć choć jednego, pragnąłem choć z jednych ust dowiedzieć się coś o wszystkich. Szczęśliwy wypadek posłużył mi bardzo. Na drugi dzień po przyjeździe spotkałem się oko w oko z kochanym Guciem. Dawno nie pamiętam tak szczęśliwej chwili. Z początku słowa przemówić nie mogłem. Gucio podstarzał troszkę, spowa-



Zamek Wyszehrad.

naszego koleżeństwa, naszych nierozrywanych węzłów, naszego pocziwego zjednoczenia. Wiwat, wiwat. I naszej uczciwej, zacnej przyszłości, spodziewam się, że nie zawiedziem się na sobie. Tak tak, nie darmośmy ludzie. Góramy wszystko co [zacne i szlachetne, precz z ciemnotą i brudem. Panowie teraz ostatni braterski uścisk i ostatnie bądźcie zdrowi i szczęśliwina na drogi życia. Żegnajcie. Żegnajcie.

X. Dziś.

Gdzieżecie wy? gdzieżecie wszyscy moi, których tak serdecznie ukochałem, gdzież dłoń wasza którą tyle razy ścisnąłem, gdzie serca wasze wylane dla drugich, gdzieżecie?

Poszliśmy w różne strony, minęły eiche dni szczęścia, wspólnej nauki, trudów wspólnych; każdy z nas poszedł za chlebem, połowa dramatu zwanego życiem skończyła się z ostatnim ręki uściskiem z ostatnim serdecznym pożegnaniem.

Tylko kilku z pomiędzy nas pozostało w Warszawie i z radością wspomina lepsze czasy, czasy młodości i zapomnienia. Żyją ni by tak samo, ale...

Nie są to już te same chłopcy, które piły za pomyślność walki z przeciwnością; na każdym życie, wycisnęło piętno swoje.

Mnie los rzucił dalej jak innych, tak że na lat kilka bracie pocziwa zniknęła mi z oczu. Rzadki tylko list, jak posłannik złego przynosił

źniał i był od kilku lat doktorem, mieszkał w Warszawie.

— No, już myślałem cię nigdy nie oglądać, zawołałem, a reszta, a nasi wszyscy? Są niektórzy, inni po świecie.. a inni... no pewno wiesz; uściskałem mu rękę w milczeniu, zobaczyłem łzę w jego oku. Gdzie mieszkasz, wiesz nie tracąc czasu, zabieram cię zaraz do hotelu gdzie przegadamy cały wieczór. Dobrze, dobrze, z tobą choćby i dziesięć. Ścisnęliśmy się powtórnie.

Usadowiwszy się wygodnie na kanapach naprzeciw siebie i zapaliwszy cygara patrzyliśmy na siebie długo w milczeniu,

— Zestarzałeś się, powiedział i ty. Tak

obaj niestety, parę latek a co najważniejsza, troski, troski braciszku.

— Czyś żonaty, spytał Gustaw. Nie, a ty, i ja nie. To dobrze przynajmniej, wivat, kawalerski stan. Ale ten stan choć kawalerski ciężki był jakiś. No mów mi mów, zawołałem, o tych wszystkich co mię tak obchodzą. Oleś, Staś, Julek o wszystkich. Dużo by to było, bardzo dużo, ale są rzeczy drobne, które mię nudzić nie będą; posłuchaj ważniejszych, zacznę od siebie. Jestem doktorem. Skończywszy wydział, pojechałem na lat dwa zagranicę, poznałem że prawie nie jeszcze nie umiem, było i to dobre bo jałem się do pracy, były ciężkie dni, dziś mieszkam w Warszawie; bawię się trochę literaturą i patrzę na życie

i całe szczęście, cóż chcesz? przyzwyczajenie, ludźmi jesteśmy.

— A Józio jeden i drugi spytałem? Prawnika możesz zobaczyć, zajmuje niewielką posadę sądową. Filolog belfruje na prowincyi wychowuje dzieci swoje i nie swoje. Jaktó więc ożenił się? Ba i to on tylko jeden z nas, reszta do wzięcia dodał i cierpko się uśmiechnął. Józio prawnik zawsze cichy pracowity, w godzinach wolnych od bióra cały w książkach, należy do wydawnictw prawnych, pracuje prawie nad siły, ale zdrów, spokojny, bo robi co do niego należy.

Alfons aż w Hollandyi, tam szuka szczęścia; mówił mi przed wyjazdem że chce koniecznie zrobić majątek. Staś już jest na tej drodze;

Uroniliśmy z Guciem wspólną przyjacielską łzę wspomnienia kochanemu przyjacielowi.

W tydzień potem zabrałem ze sobą na całe lato kochanego doktora. Jeżeli dożyję, to za lat kilkanaście opiszę wam *jutro*..

Sosnowice, 16 maja 1873 r.

Korespondencyje Opiekuna Domowego.

Paryż, dnia 4 października 1875 r.

Nowe prawo względem wolności wyższego nauczania, nechwalone przez izbę wersalską, wchodzi w wykonanie. Obok rządowych naukowych zakładów pierwszego stopnia, powsta-



Grobowce na Wawelu w Krakowie.

jak na dziwną loteryjną w której szczęśliwi większe stawki wygrywają. Karol w gubernijalnym mieście rozwija teoryje nowszej medycyny; taki jak dawniej, dużo je, utył nadmiernie, zawsze w dobrym humorze, goły jak turecki święty, długów ma pouszy, trochę ciżej mówi i rzadziej przeklina.

Adasiowi sprzyrzyło się prawnictwo i na drodze bankierskiej szuka powodzenia i kariery. Gdym się z nim widział, obliczał na pamięć dyskonto od jakichś weksli i rozprawiał dużo o nowo mającej się utworzyć kolei. Jaktó a serce, zapytałem? No tak, odpowiedział, nie mogę powiedzieć, ale widzisz cały dzień rachuje imoże wierzę w końcu, że to cała filozofia

życia z trochę grosza rzucił się do jakiejś spółki którą pod jego kierownictwem rozwinąć się może na pewno.

Oleś gdzieś w Rosyi, pocziwy Julek powróciwszy z zagranicy, silnie się przykład do popchnięcia całego społeczeństwa do światła i prawdy. Dzielný to człowiek, niezmordowany!

Spytacie a Mieczysław, a nasz radykalista? Niestety, jego już dawno zimna pokrywa mogiła, brzoza nad grobem szepce pacierz czy skargę o przerwane życie w samym związku. A pocziwi koledzy i znajomi co wiosna noszą świeże kwiatki na grób zacnego człowieka.

Nie miałem nawet tej pociechy aby grudkę ziemi rzucić na to przed czasem zagastę życie.

ja we Francyi uniwersytety prywatne. Największą w tej sprawie czynność rozwija duchowienstwo, a raczej stronictwo klerykalne. Niezego się nie szczędzi aby publiczną oświatą zawładnąć, bo przeraża postęp umiejętności, która na każdym kroku narusza powagę kościoła.

Francuzcy biskupi postanowili, iż powstałe ich staraniem uniwersytety nie będą się nazywały *katolickimi*, lecz *wolnymi*, „universitis libres.“ *Il y a des fagots et des fagots*, powiada przysłowie francuzkie: podobnie i wolność bywa przedniejszego lub pośledniejszego gatunku.

Francuzcy klerykalni przywłaszczyli sobie mo nopol dobrego i prawdy. Twierdzą oni

że od rewolucji 1789, Francja wszedłszy na drogę wolności złego i fałszu, chyli się do zupełnego upadku. Społeczeństwo francuskie tonie w zbytkach, rozpucie i niedowiarstwie, oddając się farmazonom i wolnemu myśleniu. „Ojcowie rodzin, wołają biskupi i księża, wyście ojcami wedle ciała, a my ojcami wedle duszy; podajmyż sobie ręce, wybawmy dzieci nasze, wybawmy Francję od przewrotnej umiejętności i od wszego złego.“

Od wieków klerykalizm francuski śpiewa tę samą piosnkę. Gdyby nawet mu się udało wybawić Francję od wszego złego, to nowe upatrywałyby wady, nowe znalazłyby grzechy w społeczeństwie.

W tym miesiącu zostanie otwarty w mieście Angers „wolny wydział prawniczy“ za zgodą arcybiskupów i biskupów, a pod nadzorem księdza biskupa Freppela. Studenci wydziału dzielą się na internów i eksternów. Będzie to rodzaj konwikt. Studenci eksterni obowiązani są w niedziele i święta uczęszczać do kościoła na msze i bywać na kazaniu. Rektorem wydziału jest ksiądz kanonik Sauve, rada św. kongregacji Indeksu, Rektor będzie czuwał, aby ani jedna książka przez Stolicę apostolską potępiona, nie dostała się w ręce studentów. Rektor także rozciągnie opiekę nad rodzinami, które poszły swych synów na jego „wolny wydział prawniczy.“ On będzie baczył, aby w bibliotekach tych rodzin nie znajdowały się świecko-naukowe książki, przeciwne nauce kościoła. „Wolne uniwersytety“ utrzymywane przez duchowieństwo, nie tylko będą kształciły młodzież, ale za pośrednictwem tejże młodzieży wejdą w stosunki z rodzinami, by pokierować ich życie domowe zgodnie z nauką i obyczajami kościoła. Duchowieństwo francuskie wie dobrze, iż takim bywa społeczeństwo, jaką jest rodzina. Katolickie uniwersytety we Francji nie będą rozsadanikami oświaty, jeno narzędziami do przerozbięcia rodzin na służebnice klerykalizmu. „Wolne uniwersytety“ nie wolność lecz niewolę będą krzewiły po Francji.

Do „wolnego uniwersytetu“ będą mieli wolny wstęp tylko studenci wyznania katolickiego, ściśle wypełniający swe obowiązki religijne. Mahometanie, żydzi i protestanci, nie będą mogli korzystać ze światła „wolnych uniwersytetów.“

„Wolne uniwersytety“ utrzymywane przez dzierżycieli prawdy i dobrego, mają na celu pojednanie Francji z Panem Bogiem. O tem pojednaniu czytamy długie artykuły w dziennikach klerykalnych i w tygodnikach religijnych (*Semaines religieuses*). Pojednać Francję z Bogiem, znaczy powrócić Bogu prawa do Francji, zaś Francję przyprowadzić do spełnienia jej powinności.

Francja spełni swą powinność, gdy na zawsze z własnej konstytucji wykreśli zasady 1789 roku. Zasady rewolucyjne, przeciwne chrześcijaństwu, burzą wszelką hierarchję, zarazem porządek społeczny. Na miejsce zasad rewolucyjnych należy wprowadzić zasady chrześcijańskie, które zachowują hierarchję społeczną, to jedyne źródło wolności, równości i braterstwa prawdziwego. Wypada przeto przywrócić trzy stany państwa: szlachtę, mieszczaństwo i gmin, które stanowiły podstawę

dawnej monarchii francuskiej, aby mieć reprezentacyją wszystkich sił żywotnych narodu. W ten sposób upadnie powszechne głosowanie, które po prostu jest kłamstwem zorganizowanym na korzyść intrygantów. Francja spełni swą powinność, gdy z kodeksu cywilnego wyruguje ateizm, który na równi stawia wszystkie wyznania religijne; gdy znieśli śluby cywilne i artykułem prawa nakaze poszanowanie świąt i niedzieli. Należy zostawić kościołowi zupełną wolność i przyznać mu prawo osoby cywilnej. Należy rozbić dzisiejszą administracyją, przywracając dawny podział Francji na prowincyje, z ich prawami i przywilejami. Przywrócić w całej pełni władzę ojcowską i tylko ojcom rodzin pozwolić zasiadać w radach municypalnych. Wygnać z kraju wszelkie towarzystwa tajne i znieść wolność prasy. Słowem zniszczyć dzieło rewolucji, która zdemoralizowała Francję i przywiodła ją do zguby.

Taki sobie cel zakłada duchowieństwo francuskie. Środkiem pr. wadzącym do tego celu mają być „wolne uniwersytety.“ Z niesłychaną wytrwałością klerykalizm francuski zmierza do swego celu. On siebie i swoje zasoby poświęca na przekształcenie społeczeństwa. Niczego nie szczędzi, by zapewnić teokracji panowanie nad Francją. Świeckie polityczne stronnictwa we Francji ani w połowie nie robią tyle dla własnej sprawy, co robi duchowieństwo dla zabezpieczenia swoich interesów. U stronnictw politycznych we Francji zawsze więcej słów, więcej deklamacji, aniżeli czynów. Dzienniki republikańskie, prasa postępową, liberalną powstaje na klerykalizm, uderza nań niemiłosiernie, lecz podobne ciosy tyle warte co uderzanie pałaszem po wodzie. Jeszcze ani jeden dziennik postępowy, szczerze biorący oświatę publiczną do serca, nie odezwał się do swoich czytelników o składkę na uniwersytety anti-klerykalne, kiedy duchowieństwo oddawna zgromadza fundusze na „wolne uniwersytety.“ Jakaś gnuśność panuje nad społeczeństwem francuskim. Francuzi poruczają rządowi wszystkie sprawy publiczne, brak im inicjatywy. I dzisiaj stronnictwo liberalne krzyczy na rząd, że nie stawia tamy klerykałom, ale od czegoż wolność i swoboda? I klerykalnym i liberalnym francuzom jednakie służą prawa, w tem różnica, że klerykalni umieją korzystać ze swoich praw, są gorliwsi o własne dobro. Świeckie społeczeństwo francuskie rządzi się maksymą: *Chacun pour soi-meme, et Dieu pour tout le monde*, kiedy prawidłem duchowieństwa francuskiego są słowa: *Chacun pour tout le monde et nous tous pour chacun de nous*. Karnością i solidarnością jest związane duchowieństwo francuskie, gdy tymczasem zbywa na tych dwóch ważnych zaletach stronnictw świecko-politycznych.

Mimo karności i solidarności, duchowieństwo francuskie, nie może służyć za wzór chrześcijaństwu. Przytoczyłem wyżej jego zasady i program. Rozczytując się w klerykalnej prasie francuskiej, zmuszony jesteś zawołać z Mickiewiczem. „Do czegoż dzisiaj przyszedł kościół? Co może ta potęga, rodzicielka niegdyś wszystkich mocarstw ziemi. W czem ona wpływa na postępowanie ludzi, na ich życie polityczne, na wielkie poruszenia naro-

dowe, na kombinacyje gabinetów? Nad takim stanem kościoła powinno by pękać z bólu serce jego służebników... Kościół prawi ciągle że zaraza niedowiarstwa szerzy się po narodach; kościół mówi bez ustanku, że choroba zabójcza ogarnia dusze i zadaje im śmierć, którą on ma za wieczną. Pytamże się wszystkich ludzi dobrej wiary, czy widzą na twarzach, w ruchach, w skinieniach reprezentantów kościoła tę boleść, jaką widzieli w ojcach rodzin?“¹⁾

W odpowiedzi na szumne deklamacyje duchowieństwa francuskiego o zbytkach i niemoralności Francji, nie dawno temu, Henryk Baudrillard czytał długą rozprawę w paryskiej akademii umiejętności moralno-politycznych. Baudrillard jest uczonym ekonomistą i moralistą zarazem. Nadto słynie jako niepopolity pisarz. Dostał się do akademii za dzieło, w którym wykazał ścisły związek moralności z ekonomiją polityczną. Nie ma zagadnienia z moralności, któreby się nie dało sprowadzić do zagadnienia ekonomicznego i nawzajem.

Kwestyja zbytku, przeciwko któremu wiecznie powstawał i powstaje kościół, najjaśniej wykazuje stosunek moralności do ekonomii politycznej. Umiejętność już zbadała warunki, w których zbytek jest objawem prawidłowym, jako bodziec do pracy, do produkeyi, a nawet i do oszczędności. Moralność znowu, *moralność umiejętna*, weale nie wzbrania zbytku, który jest wyrazem dobrobytu i normalnym rozwojem ludkości.

W imię moralności umiejętnej, Baudrillard powstaje przeciwko kłatwom, które miotają na zbytek apostołowie moralności *srogiej*. W imię też moralności umiejętnej Baudrillard powstaje przeciwko mistrzom moralności *swobodnej*.

Moralność sroga, potępiając wszelkie rozkosze życia doczesnego, zaszczipiając pogardę dóbr ziemskich, za jednym zamachem, potępia pracę, tamuje cywilizacyją, burzy społeczeństwo.

Szkoła moralności srogiej miała racyją bytu w czasach starożytnych, kiedy źródłem zbytku nie była praca produkeyjna, lecz zdobycz i niewolnictwo. Starożytni filozofowie, zajęci udoskonaleniem człowieka, stawiali naprzeciw wyuzdanemu zepsuciu, surowe prawidła enoty idealnej. Nie poprzestając na gromieniu występku, pogańscy mędrcy jeli wykłinać zbytek, a z czasem swą gorliwość moralizowania do tego stopnia posunęli, iż poczytali za zbytek, co przechodzi niezbędne potrzeby życia materialnego. Doktrynę ograniczenia potrzeb życia codziennego wyznawali cynicy, którzy dobrowolnie skazywali siebie na nędzę i niechlujstwo. Z surowej cyników moralności nie jedno prawidło wzięli chrześcijanie pierwszych wieków, którzy gardzili dobrami ziemskimi. Wszak dobrowolne ubóstwo do dziś dnia leży się do rzędu cnót. W wiekach średnich zakonnicy gorszyli się dobrobytem rycerstwa i mieszczan. Ów mnich, pisząc kronikę, boleje nad zepsuciem swego wieku, bo ludzie używają krzesel i stołów dę-

¹⁾ A. Mickiewicz, Literatura Słowiańska, rok czwarty, lekcya czwarta.

bowych; inny skarży się, iż zamiast jeść palcami, wybrednie jedzą za pomocą widelców, trzeci znów piorunuje przeciwko materacom, które zastąpiły siennik. Jan Musso z Placencji, drżącą ręką opisując zepsucie swego wieku, woła z oburzeniem: „Nareszcie do tego przyszło, że kobiety robią ogromne zapasy konfitur!“

Konfitury w dawnych czasach były zbyt-kiem, świadczyły one o zepsuciu i niemoralności rodzin, jak dzisiaj w oczach duchowieństwa francuzkiego jest człowiekiem niemoralnym, demagogiem, nieprzyjacielem Boga i ludzkości, kto wszelkie wyznania religijne stawia na jednej stopie; kto znosi hierarchię, nie czyni różnicy między stanami, uważa chłopów, szlachtę, mieszczań i duchowieństwo za równych sobie obywateli, za dzieci jednego Boga, jednej matki ojczyzny.

Moralność swobodna jeszcze gorszą jest od moralności srogiej. Tamta ogranicza potrzeby życia, a ta każe wydawać bez miary. Kto wydankuje, ten ożywia handel i przemysł. Taką swobodną, wyuzdaną moralność wyznawał rząd Napoleona trzeciego. Ówczesni publicyści nie wahali się dowodzić, że obrócenie Paryża w perzynę przyniosłoby wielkie dobrodziejstwo dla Francji. Należałoby odbudować stolicę, na co trzeba by poświęcić miliardy, z którychby się zбоżacił nie jeden robotnik.

Jak cezaryzm, tak i moralność jego była wyuzdana, oparta na burzeniu i na ujemnym zbytku. Moralność umiejętna zna tylko zbytek dodatni, który prowadzi do polepszenia bytu materialnego jednostek, rodzin i społeczeństw, który zarówno zabezpiecza teraźniejszość i przyszłość tych trzech istot ludzkich.

Tyle tylko na dzisiaj, za to w przyszłych listach moich starać się będę o największą możliwie rozmaitość.

ŚLADY ŻYCIA.

XL.

Tyle życia ile w czynie.

Próbka mała w jaki to sposób rozjaśniają (!) się u nas kwestyje ogólnego nieraz znaczenia.

Przed niedawnym czasem „Wiek“ pomieścił artykuł o służbie zdrowia na kolejach naszych żelaznych, wykazując, że służba ta jest najnie-dolężniej uorganizowaną i żądając odpowiedniej reformy.

W odpowiedzi na artykuł ów „Wiek“ pan A. S. pomieszcza w jednym z pism dość niezręczną filipikę, w której usiłuje niby dowiedzieć, że piszący w „Wiek“ nie jest obeznany z przedmiotem, nazywając przytem artykuł „Wiek“ „pobieżną gawędą“ i t. p.

W jakim jednakże sposób pan A. S. swego zdania dowodzi?

Oto pan A. S. (jako obeznany z przedmiotem!) wyznając w całej otwartości ducha, że nie wie co się dzieje na innych liniach, i że wie tylko jak jest na drogach: Warszawsko-Wiedeńskiej i Bydgoskiej; utrzymuje przytem, że na liniach tych ostatnich, organizacja służby lekarskiej albo raczej sama ob-

sługa lekarska chorych jest... dostateczną.

A jaką mianowicie?

O! wyborna! Droga żelazna daje przez grzeczność pp. lekarzom zamieszkałym niedaleko kolei, bilety „wolnej jazdy“, a panowie lekarze przez grzeczność znów, leczą chorych urzędników i oficyjalistów kolei.

Kłaniam uniżenie za taką służbę zdrowia i za taką obsługę chorych. A jeżeli pan A. S. ganiąc artykuł „Wiek“ utrzymuje, że obsługa ta jest dostateczną, to sądzić jedynie trzeba, że pan A. S. ma sam sobie także przez grzeczność udzielony bilet wolnej jazdy i że niedołączną filipiką, chciałby... puścić wodę na swoje koło.

Nie panie A. S.! tam gdzie idzie o kwestyję zdrowia tysięcy jednostek, czegoś więcej, jak własnego... „widzimi się“, potrzeba.

Wyszła świeżo we Lwowie bardzo dobra broszurka p. Eustachego Petion „O budowie tanich pomieszczeń“. Rzecz to napisana przez specjalistę, a przytem w sposób bardzo przystępny i racjonalny. Autor, wykazując (na tle wprawdzie tylko galicyjskich stosunków) przyczyny dzisiejszej drożyzny mieszkań, wskazuje zarazem środki zaradcze, polegające głównie na zmianie dotychczasowego systemu budowy domów. Dziś kwestyją mieszkań, nietylko w miastach galicyjskich ale i u nas jest jedną z najżywotniejszych, życzylibyśmy więc bardzo, aby książeczka p. Petiona jak najwięcej czytelników znalazła.

Do nowości również wydawniczych należy książka p. Jana Jeleńskiego p. t. „Sprawozdania z obecnego stanu kraju“, na czele których to sprawozdań stoi „Kalisz i jego okolice“. Praca ta była drukowaną w „Niwie“, dzięki której, mamy dostać następnie, sprawozdania i z innych okolic kraju. Tymczasem p. Jeleński ukończywszy z Kaliszem, wziął się jak już wspominaliśmy do urządzenia czytelnicy publicznej w Warszawie i dziś rzecz ta jest już na ukończeniu.

Załączający się (dla czytelników miejscowych) prospekt, objaśnia dokładnie nie tylko o warunkach ale i o zadaniu czytelnicy.

Pan Jeleński pracuje w naszym piśmie, nie wypada nam więc, nad jego przedsięwzięciem rozwodzić się pochwalnie. Nie możemy jednak przez zamilowanie słuszości nie powiedzieć wprost, że rzecz sama powinna by mówić za sobą, a właściwie, że najlepszą rekomendacją czytelnicy, stanowić może przygotowany już do druku katalog.

Katalog ten właśnie mieliśmy sposobność przeglądać i nietylko ilością ale wyborem książek przyjemnie zostaliśmy zdziwieni. Nie ma prawie ani jednego dzieła któreby nie było warte czytania; wszystkie wyborowe w istocie tego słowa znaczeniu.

Obok wielu popularno-naukowych wydawnictw i dzieł belletrystyki, samorównież wyborowe obejmuje rzeczy. Nie ma tu wprawdzie odwiecznych romansidel, ale za to są wszystkie prawie najświeższe i najznakomitsze tak powieściowe jak i inne belletrystyczne utwory, i jest wreszcie z kilkuset dziełek złożona czytelnicy dla dzieci, oraz dla dorastającej młodzieży.

Tak uorganizowana czytelnicy jest pierwszą u nas w Warszawie i dla tego też o jej powodzenie jesteśmy najzupełniej spokojni. Publiczność nasza oddawna już uczuwa potrzebę tego rodzaju czytelnicznego ogniska, więc nie wątpimy że pracę pana Jeleńskiego poprzeć i oocenić potrafi.

Jak mało nawet rzekomo inteligentni przedstawiciele naszego ogółu rozumieją rzeczywiste potrzeby społeczne, jak mało jest znana i rozumiana solidarność jednostek, tworzących wielką społeczną rodzinę i jak szeroko na naszej społecznej niwie, rozrasta się brudny chwast ślepego egoizmu, dowodem niech posłuży skandaliczny proces kryminalny, żywo zajmujący obecnie uwagę publiczną.

Rzecz się tak ma. Produkcja okowity u nas jest obłożoną wysokim bardzo podatkiem. Nie wchodzimy w to obecnie, czy i na ile podatek ten jest usprawiedliwiony w interesach spożywającego ogółu, który ostatecznie go płaci nie narzekając nawet na niego; a chcemy tylko powiedzieć, że zupełnie nie obciąża on producentów, choć tak często na niego narzekają. Przyczyny krytycznego stanu tej ważnej gałęzi naszego wiejskiego gospodarstwa leżą nie w akcyzie, ale we wszelkiego rodzaju nadużyciach, ściągających się przeważnie do płacenia akcyzy. Przemysł gorzelniczy podkopuje nie podatek, ale brak owego społecznego rozumu, brak publicznej uczciwości i wstrętne samolubstwo niektórych zaślepionych jednostek. Uchylenie bowiem pewnej ilości okowity w zupełności lub nawet w pewnej tylko części od akcyzy, stawiają w korzystniejszych warunkach zbytu względem opodatkowanej, i drogą konkurencji zmusza tę ostatnią do zbytu niżej odsetek średnich lub nawet kosztów produkcji, zaczem prowadzi ją prostą drogą do zupełnego lub częściowego bankructwa. Ile na tem cierpią uczciwi producenci, kraj i jego najdroższe interesa, ile na tem zyskuje dobrobyt ogólny i moralność publiczna, jakie wśród takiego położenia krzewią się wyobrażenia o obowiązkach publicznych i społecznej solidarności, czytelnicy łatwo osądzi... Sprawa o której mowa należy właśnie do tej kategorii. Kilka jednostek stawiając interesa swoich kieszeni wyżej aniżeli dobro ogółu, starali się wyzyskać na swoją wyłącznie korzyść przepis prawodawczy, mający na celu li tylko interes ogółu producentów, rujnując tych właśnie producentów. Tylko ta bowiem okowita, która jest przeznaczoną na sprzedaż wewnątrz kraju jest obłożoną akcyzą, przeznaczona zaś na wywóz zagraniczny jest w zupełności od niej uwolniona. Wyjątkowe to położenie okowity przeznaczonej na wywóz, dzielnie się może przyczynić do rozwoju krajowego gorzelnictwa, otwierając mu szeroką drogę korzystnego zbytu na zewnątrz i niedawno jeszcze prasa nasza zwracała na ten punkt uwagę ziemian, zachęcając ich do tworzenia odpowiednich spółek wywozowych.

Przepis ten wyzyskiwali w ten sposób, że przewozili przez granicę beczki próżne lub napełnione wodą, a okowitę, która w nich miała być przewieziona, sprzedawali nie opodatkowaną na miejscu... I działało się to na naszych „kresach“ przez tych, co powinni byli tam stać

na straży. Kraj do koła ubożał, gorzelnie się zamykały i nawale germańskiej torowała się droga przez opuszczone stanowiska... I gdyby to robili „maluczy“, którzy nie mogli jeszcze korzystać z dobrodziejstw cywilizacji pielęgnowanej przez „starszych braci“, trudno byłoby się temu dziwić i łatwiej można by było wybaczyć; ale robili to ludzie, co mają pretensję być przedstawicielami wielkich idei, czołem społeczeństwa, jego ozdobą...

W kwestyi ogrodnictwa otrzymaliśmy list następujący: Szanowny Redaktorze! W jednym z Nrw „Wieku“ jak czytelnikom wiadomo zapewne, podjęta została myśl założenia spółki ogrodniczej, w celu podniesienia u nas tej tak korzystnej, a pomimo to tak zaniedbanej gałęzi przemysłu rolnego, jaką jest ogrodnictwo. Już nawet znaleźli się ludzie dobrej woli, którzy starają się o urzeczywistnienie tego zamiaru, o wprowadzenie tej myśli w czyn. Pisząc te wyrazy nie mamy zamiaru rozwodzić się nad korzyściami, jakie ta spółka w przyszłości przynieść może dla kraju, ani też występować z uwagami nad ustawą, która nie jest jeszcze nam wiadomą. W tej chwili mamy co innego na myśli: spółka po ukonstytuowaniu się swoim ma założyć szkołę ogrodniczą, szkołę jak w ogóle u nas wszystkie szkoły specjalne, dostępną tylko dla jednej połowy rodzaju ludzkiego, to jest dla męż-

czyzn; otóż naszym zdaniem, spółka przysłużyłaby się pośrednio krajowi ogrodnictwu, a bezpośrednio drugiej połowie rodzaju ludzkiego t. j. kobietom, gdyby zechciała i dla nich swój przybytek wiedzy ogrodniczej, zrobić dostępnym. Rzecz to u nas dotąd nie praktykowana, nowa, ale nie myślę, żeby była niemożliwą.

Pole pracy kobiecej u nas nawet w ostatnich latach zaczęło rozszerzać się po za granice przez tradycją dla niej zakreślone: przed kilku jeszcze laty, nie widzieliśmy kobiet zajmujących się szewstwem, introligatorstwem, zecerstwem, drzeworytnictwem i t. p. słowem żadnym rzemiosłem, oprócz krawiectwa i ... nauczycielstwa, żadną prawie sztuką oprócz muzyki i ... podobania się ¹⁾ Dawne zmieniły

¹⁾ Rozumie się, mówimy tu tylko o pracy wychodzącej po za zakres domowego ogniska, przy którym kobiety zawsze widzimy, jak pierwszą pracownicę i królową.

się czasy, zmieniły, warunki, potrzeby i pojęcia... Dziś przyznajemy (w teorii) kobiecie, że jest człowiekiem, że powinna i musi pracować, pracować nieraz ciężko na kawałek chleba dla siebie a nawet i dla rodziny; przyznajemy to, ale czy zawsze chętni jesteśmy do dania jej *możności* pracowania, czy chętnie przykładamy rękę do rozszerzenia zbyt szczupłego jeszcze pola, ich działalności w dziedzinie pracy bezpośrednio produkcyjnej, czy nawet przykładamy do tego rękę, czy niestawiamy jeszcze często przeszkód do tego? Na to niech odpowiedzą ci wszyscy, którzy w każdym kroku zrobionym przez kobietę na nowej drodze, widzą zgubny wpływ emancypacji pozytywizmu, materjalizmu i... nihilizmu (sic) są ludzie, którzy wszystkie te wyrazy uważają za jednoznaczne. Dla miłości własnego kraju i własnego społeczeństwa, dla miłości wreszcie prawdy i swobody pracy nie przeszkadzajmy pracować tym, które chcą i w jakim chcą byle uczciwym zawodzie, zachęcajmy te, które nie mają chęci, dodajmy odwagi

trwałości, czy nawet zupełnie są tego daru pozbawione, że wreszcie są *kobietami*. Odpowiadać na takie zarzuty uważamy co najmniej za zbyt czyste, powtarzają się one przy każdej sposobności, ile razy tylko mowa o pracy kobiet, ale chcąc pytanie, którem p. K. S. zatytułował swój artykuł i którem właśnie teraz się zajmujemy, rozstrzygnąć bezstronnie, musimy odpowiedzieć na zarzuty inne robione przez p. K. S., to jest odnoszące się wprost do przedmiotu, a które zarazem posłużą nam do wyświeatlenia tej kwestyi dla tych, którzy z nią nie są dostatecznie obeznani.

„Pierwszą do tego (ażeby kobiety były ogrodniczkami) przeszkodą, powiada p. K. S. jest brak sił fizycznych. U nas w kraju nauka ogrodnictwa odbywa się od wieków na drodze praktycznej, uczeń zatem obowiązany jest kopać doły i rowy, urządzać regulówkę, zwozić nawóz i ziemię, obeinać gałęzie nieraz grube jak kolano“ i t. p. Jeżeli nauka ogro-

dnictw odbywała się li tylko na drodze praktycznej, tak jak dotąd, to brak sił fizycznych byłby tu dla ogółu kobiet zawadą niepokonaną, ale gdy ona będzie się odbywać na drodze teoretycznej, w szkole, to myślę, że uczni nie będą potrzebowały kopać dołów, wozic nawóz i t. p., jak dziś w szkole rolniczej uczniowie nie potrzebują sami orać, kosić, bronować i t. p. Takie roboty potrafi



Pastuszek w Tatrach.

tym, które jej nie mają, starajmy się im rozszerzyć o ile można pole do pracy; a nie będziemy mieli tyle nieprodukcyjnych jednostek, tyle lalek, tyle ... nieobwijamy w bawełnę, tyle nierządnic! Ale wróćmy do rzeczy.

Sam projekt który podajemy, nie jest u nas nowym i niesłychanym, nieraz już w pismach zdarzyło się nam czytać o tem, ale były to wszystko, że tak powiem przebąkiwania; z ostatnich czasów, pamiętamy jeden tylko artykuł obszerniejszy w Nr 1 i 2 „Przyrody i Przemysłu“ z r. b., pomieszczony: „Czy kobiety mogą być ogrodniczkami?“ Autor tego artykułu p. K. S., chce bądź co bądź dowieść, że nie mogą i na poparcie swego zdania, ucieka się nawet do takich już zanadto oklepanych argumentów jak to, że kobiety są zanadto delikatne, wypieszczone, za bardzo dbałe o swoje powierzchowność, że mało mają wy-

wkonać każdy zwyczajny robotnik, a gospodarz, inteligentny ogrodnik lub ogrodniczka powinni koniecznie znać się tylko na tem, a znać się mogą, nigdy sami tego nie robiąc.

Z czynności fizycznych dla ogrodników potrzeba koniecznie *umieć* tylko takie, jak: szczepienie, flancowanie, sadzenie i t. p.

„Drugą również ważną przeszkodą, powiada p. K. S., jest delikatne zdrowie kobiet. Ochraniane od młodych lat, od wpływów zewnętrznych powietrza *cierpią* za najmniejszą jego zmianą (?). Tymczasem najważniejsze roboty ogrodnicze odbywają się podczas wiosny i jesieni, kiedy właśnie pogoda jest najmiennejszą.“

Jeżeli są kobiety w klasie średniej, o którą nam właśnie chodzi, które *cierpią* za najmniejszą zmianą powietrza, to te należą do bardzo

nielicznych wyjątków i im możemy tylko radzić dla własnego ich szczęścia, opuścić nasz klimat, który był jest i będzie zmiennym. Co się zaś tyczy ogółu kobiet, to dalekie one są od od wrażliwości, jaką im p. K. S. przypisuje. Mamy tego dowody na gospodyniach wiejskich i małomiasteczkowych. Zresztą nasz interlokutor mówiąc o zgubnym wpływie zmian meteorologicznych, zapomniał zwrócić uwagę na to, że w każdym razie praca na otwartem powietrzu, i z natury swej potrzebująca ruchu, daleko zdrowszą chyba jest od pracy w fabrykach, zapełnionych zgubnemi wyziewami i potrzebującej ciągłego siedzenia na jednym miejscu, jak np. w fabrykach tabaczych, w warsztacie szewskim, nad maszyną do szycia i t. p.

„Do innej, jeżeli nie przeszkody to przynajmniej zawady policzyłbym, powiada dalej p. K. S., ubiór kobiecy.“ Jakkolwiek ubiór kobiecy jest może mniej zręcznym od męskiego do chodzenia między krzewami i doniczkami, to jednak nie tak, ażeby „w szkółkach psuł robotę, lub ażeby pobyt kobiet w oranżeryjach robił niepodobnym; zaczepiając bowiem jak utrzymuje p. K. S. co krok o orosliny, będą je wyrwać z grzęd, zrzucić doniczki na ziemię“ i t. d. Doprawdy musimy posądzić p. K. S., że chyba nigdy nie widział kobiet tam gdzie o ich obecności mówi, lub jeżeli widział to bardzo niezgrabne, albo może w krynolinach?... Co do nas, zdarzyło się nam widzieć przy tych zajęciach kobietę, była ubraną w dość krótką sukienkę, bez wszelkich niepotrzebnych dodatków, zrobioną z materiału mocnego i wcale nie przyszło nam na myśl to, o czem p. K. S. twierdzi z taką pewnością. Owszem, podziwialiśmy tylko zręczność i zgrabność jaką przy zajęciach ogrodniczych okazywała. Zresztą w niektórych ogrodach jest zwyczaj, że ogrodnicy, mężczyźni chodzą przy długich fartuchach, w których wcale nie zdaje mi się, ażeby im było zręczniej, jak kobiecie w spódnicy. Cóż więc o tem mówić?

„Ostatni powód, który powinien odstręczyć pleć piękną od tego zawodu, jest małe wynagrodzenie. Maximum płacy ogrodników na prowincyi jest 100 rubli rocznie, rzadko kiedy więcej!“ Płaca ta z postępem u nas ogrodnictwa, gdy ogrody będą uważane jako jedno ze źródeł najkorzystniejszych w przemyśle rolnym, nie zaś jako rzecz zbytkowna, lub zresztą co do korzyści poślednia (jak dziś się uważa), powiększy się znacznie. A zresztą tak jak dziś nawet nie jest zbyt mała, a nawet i duża, gdy porównamy ją z tem, co biorą kobiety pracujące dziś; w jakimkolwiek rzemiośle. Bardzo mało znaleźlibyśmy dziś takich, z wyjątkiem nauczycielek, które oprócz mieszkania z opałem i życiem, mają jeszcze 100 rubli.

Wkońcu p. K. S. nieradzi, poświęcać się kobietom zawodowi ogrodnictwa dla tego, że mogłby naukę ogrodnictwa cofnąć. W odpowiedzi na to przytoczymy własne słowa pana K. S., wypowiedziane w tym samym artykule.

„Przyszłość ogrodnictwa jak nateraz w ręku kobiet spoczywa (choć zastrzega) jako właścicielek ogrodów, ich córek i kuzynek (?). Przyjmijcie, są słowa p. K. S., dobrych ogro-

dników, dostarczenie im dzieł krajowych, lub zagranicznych w tym przedmiocie wydanych, wyłomacie im ważniejsze miejsca, jeżeli nie rozumieją (a zkadże będą same rozumiały?) nauczcie się niektórych czynności ogrodniczych, a głównie szczepienia (gdzie i od kogo?) wykonajcie takowe na dziełkach nau-myślnie dla was przygotowanych; doprowadźcie te drzewka do koron, a później ofiarujcie je blizkiej wsi właścicielom, przy wskazaniu dalszego postępowania i t. d. Niech tylko takie zachęty, kończy, będą zaprowadzone w wielu miejscowościach, a zamięłowanie się utrwali, przejdzie do innych wsi a następnie na całe okolice. Zyska na tem kraj, skorzystają właścicielki, jeżeli wezmą ogrody w *swoją opiekę*, bo oprócz moralnego zadowolenia, ogrody przyniosą im poczwórne dochody. 1)

Jasną nam się teraz rzeczą wydaje jak słońce, że kobiety mogą być ogrodniczkami, że wszelkie dowody, jakie przeciwnicy nasi przytaczają są oparte tylko na pozorach, a przeciwnie za nami przemawiają fakta, i fakta te są tak widoczne, że nawet wprawiły w sprzecznność z samym sobą pana K. S., który jest jednym z wielu chcących dowieść koniecznie, że kobiety nie powinny szukać dla siebie zajęcia i pracować na chleb w zawodzie, w którym... do tej pory niepracowały. Jeszcze raz powtarzamy: kobiety na tem polu mogą pracować z pożytkiem, i myślę że zechcą pracować, tylko dajmy im możność do tego, to jest, załóżmy dla nich specjalną szkołę.

Z. A. Sza.

Koncert pana Adama Münchheimera, pomimo dogodnej bardzo pory, nie zdołał zebrać dość licznej publiczności. Koncertant wystąpił ze swojemi wyłącznie kompozycjami, wykazując różnorodne objawy swego talentu. Główną cechą twórczości p. M. stanowi jak wiadomo świetna instrumentacja i prawdziwie artystyczne wykonanie zewnętrzne, ku czemu pomaga mu mistrzowska znajomość tajemnic sztuki.

Przymiot ten uwydatnia się szczególnie w operze koncertanta „Otton Łucznik“, z której zaprodukował kilka ustępów.

W ustępach opery: „Stradiota“ szczególnie Barcarolla z chórem zachwycała wszystkich prawdziwie piękną śpiewnością.

W najnowszym utworze „Mistrz Twardowski“, p. M. wchodzi na drogę tak nazwanej muzyki przyszłości, której Ryszard Wagner jest ojcem. Muzyk pragnie tu być malarzem, odtwarzającym różnorodne obrazy z pomocą zręcznej instrumentacji. P. M. zapragnął otóż rozwinąć w swej najnowszej kompozycji całą o czarnoksiężniku legendę. Podzieliwszy więc całość na pojedyncze ustępy, stworzył kilka kawałków, które połączone razem, wyglądają niestety na jakąś dziwnie chaotyczną klejonkę. I nie mogło być inaczej, bo w obec takiego założenia nie podobna było

ani wysnuć należyte motywów, ani stworzyć pełnej organicznej całości.

Pieśń z IX-go wieku „Bogarodzica“ ułożona na chór i orkiestrę, miłe bardzo zrobiła wrażenie.

Prawdziwą przecież uczą artystyczną na koncercie o jakim mowa, był dla nas występ p. Jakowickiej, od tak dawna nie produkującej swego talentu na ojczyznej ziemi. Głos jej miękki i dzwiczny, silne nader na słuchaczach robi wrażenie. To też przyjęto ją z zapalem i wynagrodzono grzmiotem iście oklasków.

Przecudna śpiewka hiszpańska została przez p. J. powtórzoną na żądanie publiczności.

Obok p. Jakowickiej przyjęli udział w koncercie pp. Dowiakowska i Rybicka pp. Fileborn, Cieślewski, Wasilewski, Grüdiger, Suszyński, Siwicki, Ulbrych i Kazalski. p. Dowiakowską i p. Cieślewskiego przyjęła publiczność zasłużonym a hucznym oklaskiem.

Śliczna barcarolla ze „Stradioty“ wykonana przez p. Fileborna, musiała być na żądanie powtórnie odśpiewana.

W ogóle wszyscy biorący udział w koncercie a także chór i orkiestra wywiązali się należyte ze swego zadania.

* * *

Lublinowi posiadającemu już własny organ pod tytułem „Kuryer Lubelski“ przybywające jeszcze wydawnictwo peryjodyczne mianowicie *Gazeta Lubelska*. Gazeta według prospektu jaki mamy pod ręką, wychodzić będzie od 1 Stycznia roku przyszłego, zajmując się *przewszystkiem*, sprawami miejscowego rolnictwa, przemysłu i handlu a w dodatku obejmować będzie i część literacką beletryczną, bez której piśmo specjalne niedługo by się prawdopodobnie ostało. Gazeta wychodzić ma trzy razy w tygodniu, to jest: w Poniedziałki, Srody i Piątki, a szczegółowy program jej obejmuje: Wiadomości i rozporządzenia rządowe. Uchwały instytucji kredytowych, bankowych, assekuracyjnych i innych w pomoc rolnictwu i przemysłowi przychodzących, oraz rozwój tych instytucji.—Opisy gospodarstw postępowych, zakładów fabrycznych i przemysłowych, oraz warsztatów rękodzielniczych gubernii Lubelskiej.—Artykuły, sprawozdania i wiadomości dotyczące miejscowego rolnictwa, przemysłu handlu. Stosunek tychże do innych gubernij i do ogólnego ekonomiczno-handlowego ruchu całego kraju.—Wiadomości z nauk stosowanych do rolnictwa i przemysłu.—Kursa monet i papierów publicznych, ceny produktów i inne wskazówki zbytu i handlu.—Statystyka miejscowa i porównawcza.—Tręściwe wiadomości polityczne.—Kronika miejscowa.—Korespondenckie.—Odcinek: artykuły różnej treści interes miejscowy obudzić mogące poezją i powieścią.—Ogłoszenia i doniesienia. Liczne grono współpracowników, kończy prospekt, tak w Lublinie, jak i w różnych punktach gubernii zamieszkałych, zapewnia możność dokładnego opracowania działów. programem objętych.

Cena prenumeraty wynosi kwartalnie rs. 1, z przesyłką pocztową rs. 1 kop. 35. Za egzemplarz pojedynczy kop. 5. Wydawcą i Redaktorem jest p. Leon Zaleski.

* * *

1) Odpowiedź na artykuł p. n. „Czy kobiety mogą być ogrodniczkami“ posłałem jeszcze w styczniu, to jest zaraz po ukazaniu się takowego, do redakcji Przeglądu Tgodyn. lecz dla braku miejsca, które musiało być poświęcone na ujawnienie się z prasą warszawską,—nie był wydrukowany.

Niedawno, obywatele Kowieńskiej gubernii dali piękny ślad życia, urządzając wystawę rolniczą w Szawlach. Dziś z przyjemnością notujemy ślad podobny przeciwnego krańca. Urządzona i otwarta obecnie w Odesie wystawa z sympatyją została przyjęta przez miejscowych obywateli, biorących w niej dość liczny udział. Z wystawców narzędzi rolniczych chlubnie odznacza się wedle słów korespondenta Gazety Polskiej p. J. Długosza, nasz rodak p. Zalewski właściciel dóbr Rotmistrzówka w gubernii Kijowskiej. Jego model młockarni pokosowej swą prostą nadspodziewanie konstrukcją wzbudza słuszny podziw nie tylko agronomów ale nawet specjalistów mechaników.

BEETHOVEN

Fantastyczna charakterystyka

Poświęcona wszystkim miłośnikom muzyki i wielbicielom wielkiego męża,

przez
Ernesta Ortlepp.

Przełożył z niemieckiego

H. B.

I.

Pierwsza miłość Beethovena.

I.

Wieczór muzyczny.

Był to prześliczny wieczór wiosenny. Znaczna liczba gości zebrała się na letnim mieszkaniu bankiera Erdmana. Wszyscy zaproszeni byli miłośnikami muzyki; sam Erdmann chciał uchodzić za takiego. Należał on do rzędu ludzi, który mają właściwie tylko zmysł dla rzeczy materialnych, udają jednak jakoby odczuwali jeszcze coś wyższego. Oczując całą próżnię swej wyłącznie pieniężnej wielkości, affektował on poczucie dla piękna sztuki, z której jednak nie a nie nie pojmował. Jego dwie córki, Beata i Adelaida, brały lekcje muzyki od wysokiego, bladego, suchego, muzycznego technika, albo raczej mechanika. Pan Lambertus obznajmił je, w sposób pedantyczny, z aplikaturą i z zasadami harmonii; męczył je nawet kontrapunktem, do którego to ostatniego, szczególnie Adelaida miała wstręt nieprzezwyciężony.

Więcej poważna Beata zwracała na te rzeczy pilną uwagę, dla tego, abymogła pochwalić się swą wiedzą. Adelaida miała duszę muzyczną; była ona zawsze za nadto wzburzoną i roztargnioną, aby powziąć zamiłowanie do tych rozumowych operacji, w których żadną miarą zagustować nie mogła.

Popisy muzyczne dnia tego odbywały się pod gołym niebem. Fortepijan wyniesiony został do ogrodu, i już na nim pobrzdał dość znośnie kapelmistrz Eilau. Kilka osób należących do składu teatru, odśpiewało włoskie aryje. Obecni dandowie miasta, głównie lornetowali piękną włoszkę Julję, która dziś przed wszystkimi się odznaczyła. Gdy skończyła aryję, nawet prozaiczny nauczyciel gry na fortepianie Lambertus, nie skąpił okłasków, chociaż często się chwalił, mówiąc: „Ja nigdy nie daję brawa!”

Adelaida, pokazując kapelmistrzowi Eilauowi kilka nowych sonat, zapytała go, jakiego jest o nich zdania. Dyrektor muzyki Regel i nauczyciel śpiewu Melos, zbliżywszy się, rzucili wzgardliwe spojrzenie na nowe nuty, które tak bardzo zainteresowały Adelaidę. Wszyscy oni jednogłośnie powstawali na kompozytora, który, chociaż był zaproszony na dzisiejszy wieczór, jednak jeszcze się nie zjawił.

— To czyste głupstwo, mówili; ten człowiek chce być oryginalnym, a staje się niesmacznym. Jego utwory nie mają wdzięku; nie trzyma się on wcale tematu i nie pyta o żadną regułę. On myśli sobie: im wścieklej, tem lepiej. Jużemy mu to nieraz powiedzieli po przyjacielsku, żeby dał pokój muzyce, oraz, że do tej sztuki nie więcej posiada talentu niż pewne zwierzę do lutni. Ale są tacy, których niepodobna jest nawrócić; wbili oni sobie do głowy myśl stania się większymi artystami niż inni poczciwi ludzie, i na oślep ku temu podążają celowi; ich zapał jest niezmordowany; niepodobna jest zbić ich z drogi, ani nagana, ani ostrzeżeniem.

Adelaida odparła: — Ależ „sonata księżycowa” tego przez was tak bezlitości potępionego mistrza, jednak zdaje mi się być dziełem, w którym jest zupełnie coś nowego. W kompozycjach Haydna i Mozarta, nie znajduje się nic podobnego.

— Haydn i Mozart, to są wielcy ludzie! zawołał jej ojciec; jakże możesz porównywać ich z naszym kompozytorem sonat?...

— Przecież on teraz znowu napisał nową symfonię, w której, zdaje mi się, że przewyższył nawet Haydna i Mozarta, odparła Adelaida.

— Ależ proszę pani, Haydn i Mozart i ten Beethoven!... zawołał z zapałem kapelmistrz Eilau. My także komponujemy nasze sonaty, symfonie a nawet opery, ale nam wcale nie przychodzi na myśl, tak wyróżniać się jak ten jegomość, który już sam nie wie co ma począć, by zwrócić na siebie uwagę.

Dyrektor muzyki Regel rzekł:

— Daję pani moje słowo, że z tego pana Beethovena nigdy nic nie będzie! Jest on człowiekiem bardzo ograniczonym; może mi to pani wierzyć napewno.

W tej chwili otworzyły się drzwi ogrodu i wszedł mężczyzna dość niepozornej powierzchowności. Był on więcej niskiego niż średniego wzrostu, krępy, mocno zbudowany, twarzy okrągłej, cery zdrowej, rumianej; oczy jego były niespokojne, błyszczące i prawie kolące, ruchy albo zbyt powolne, albo znów za żywe. W jego spojrzeniu leżał wyraz dobroduszości i lekliwości. Pewne zaniedbanie w jego ubraniu stało w rażącej sprzeczności z wieczorem wielkiego świata. Przybyły miał na sobie surdut dość znoszony; szyja jego była bez chustki, koszula na piersiach otwarta; w ręku trzymał kij sękaty. Manijery jego były, nie do opisanie. Człowiek ten zachowywał się zupełnie tak, jakby był sam jeden. Nie zwracał on wcale uwagi na obecnych tu elegantów, ani na swych kolegów muzycznych, ani też na piękne damy, które zdawały się wywierać na niego więcej wpływ odpychający niż przyciągający.

Zaraz po swem wejściu, po dość niezgrabnym ukłonie skierował on się prosto do altanki, gdzie usiadłszy na ławce, wyjął z kieszeni małą książkę. Były to nuty z świeżo wysłanego „Fausta” Goethego. Wkrótce potem odłożył na bok książkę i zanucił sobie jakąś melodyję. Następnie wyjął kawałek papieru i napisał ołówkiem nuty do pieśni „Freudvoll und leidvoll.” Podczas tego chwycił się parę razy za kieszeń od kamizelki i znalazłszy tamże tylko kilka groszy, robił sobie wyrzuty, że wybrał się do towarzystwa, z którego wychodząc, nie będzie mógł dać służbie przyzwoitego „na piwo.”

Adelaida była pierwszą, która przerwała jego samotność. Zrazu przyjął ją z niezmiernie kwaśną miną; ale ona nie dała się odstraszyć. Zaczęła mówić o jego sonacie „księżycowej” i oznajmiła, że jest oczarowana tą jego kompozycją.

— Zapewne pani nie zrozumiała tej sonaty! odparł. Zaraz jednak po tych słowach okazał wielkie pomieszenie. Trwało to przez chwil kilka; wkrótce jednak znów zaczął śmiało mówić.

— Wybacz pani! rzekł, nie łatwo możesz mnie pojąć, gdyż ja komponuję tylko dla przyszłości!

Dotąd zaledwie był na nią spojrział. Dopiero teraz spojrzał okiem na pięknej postaci dziewczęcia i spotkał się z jej wzrokiem, pełnym słodkiego marzenia.

Przez jej źrenice patrzyła nań dusza, zdająca się mówić: jeżeli ja ciebie nie pojmuję, to już nikt ciebie nie zrozumie.

Ludzie są takimi: kto ich szuka, tego unikają dumnie; kto od nich ucieka, za tym biegną. Wkrótce na około naszego Ludwika zebrała się grupka, która wyraźnie okazywała, jak bardzo on jest przedmiotem ogólnej ciekawości.

Pan Erdmann poprosił gościa, aby zechciał zagrać na fortepianie jedną ze swoich fantazji. Kosztowało wiele kłopotu, zanim zdołano go do tego nakłonić. W końcu zagrał, ale tak, że wkrótce nie miał ani jednego słuchacza prócz pięknej Adelaidy. Wszyscy odeszli i rozproszyli się po ogrodzie. Śmiano się, hałasowano, żartowano. Jedną tylko Adelaidę, oświetloną czarującym promieniem księżyca, stała przy nim. Łza błysnęła w jej oku. On schwytał ją za rękę i z dziekczynieniem przycisnął takową do ust swoich; ona odpowiedziała uściśnieniem. Objął ją tedy w pół, pocałował, i nie rzekłszy ani słowa, wyszedł.

II.

Przyjaciel.

— Czy podobna! zawołał Florio, gdy ujrzał swego przyjaciela Ludwika, wchodzącego do winiarni. — Wszakże miałeś dziś być na wieczorku u Erdmanów?

— Uciekłem stamtąd, odpowiedział Ludwik, gdyż nie mogłem dłużej wytrzymać. Wyobraź sobie, że widzisz naokoło siebie wszystkich tych gawronów, wszak oni stawiają artystę na równi z linoskokiem i mówią: pokazuj nam swoje sztuki! Wyobraź sobie tych bałwanów, którzy nie więcej nie mają prócz pięknych

szat i pieniędzy, co moment poprawiają swą toaletę przed lustrem i potem, z założonym wielkim palcem w wykrawkę od kamizelki, defilują przed tobą. O! kochany Florio, na to nie ma co powiedzieć! Dość, że w bliskości takich fanfaronów wytrzymać nie mogę; źle mi się robi, gdy ich widzę. A ponieważ ich tam było kilku, musiałem koniecznie oddalić się. Ale jestem szczęśliwy, mówię ci, szczęśliwym nad miarę! Widzisz mnie dzisiaj pełnym radości; może wkrótce ujrzysz mnie zamyślonym, albo nawet zrozpaczonym!

— W tem wszystkim, zdaje mi się gra pewną rolę pieśń Goethego, rzekł Florio.

— Napisałem do niej melodyję, odpowiedział Ludwik wyciągając z kieszeni kartkę papieru. Spójrz! Co mówisz na to?

— O! pyszne! pyszne! zawołał Florio. Już sam początek!... A i zakończenie! Jak ono oplata serce coraz ciasniejszym kręgiem. Beethovenie, jesteś zachwycającym!

— To ty tak mówisz, przerwał mu Ludwik, ty, mój jedyny przyjaciel, który mnie ceni; inni bowiem przyjaciele, są prawie gorszymi od nieprzyjaciół. Gdy ludzie kogo bliżej poznają, to myślą sobie, że tenże musi być mniej więcej do nich podobnym, i zaraz się gniewają, jeżeli ten ktoś wzbija się na wyżyny, gdzie im znika z oczu. Duch wyższego poletu, nie tylko powinien wznosić się do pewnej wysokości, ale nadto powinien tam na górze bujać swobodnie, od jednego szczytu do drugiego. Takie jest moje zdanie; ale panowie Eilan, Melos, Regel i t. p. nie o tem nie chcą słyszeć. Kelner, butelkę szampana! Kochany Florio, nie posiadam się dzisiaj!

— Ależ proszę cię, czy ty masz pieniądze?

— Co ja się tam pytam o pieniądze! odpowiedział Ludwik. Pieniądze, mój kochany, jest to rzecz, którą codziennie więcej nienawidzę. Pieniądz jest to właściwy szatan oraz zacięty wróg wszystkiego co jest wielkim i pięknym. Pieniądz, jest zarazem przyjacielem wszystkiego co jest nikczemnym i niskim; pieniądz, to najniebezpieczniejsze i najpodlejsze błoto; nie mogę ci opisać, jak bardzo nim gardzę!

Ty wiesz Florio, że jestem biedakiem; ale dziś jestem szczęśliwy! Dla tego chcę pić szampana, i na tem basta!

Podano butelkę.

— Czy chcesz upić się dzisiaj? zapytał Florio.

— O! Ja już jestem pijany, nim jeszcze dotknę się wina. Ja prawie zawsze jestem odurzony. Chwała Bogu, że mogę tu być sam na sam z tobą. U Erdmanów było strasznie: nie jak gruba materyjalność: pieniądze, przepych, czczość. A jednak było tam dla kontrastu coś, niebiańskie coś, mówię ci.... I to coś nazywa się Adelaida... Ona... Chodź! Niech żyje Adelaida!...

Trącili się kieliszkami, wołając: niech żyje Adelaida!

Dziwnie się jakoś składa, rzekł Florio; właśnie przepisałem sobie wiersze pod tytułem: „Adelaida.“ Autorem ich, jest niejaki Matthiesson. Powiadam ci, że mnie ta pieśń oczarowała.

— Dawaj! zawołał Ludwik, i szybko chwycił za papier, który mu Florio podał.

Beethoven przeczytał pomrukując półgłosem wiersze, i podczas tego zatrzymywał się,

patrzając w ziemię. Lży stanęły mu w oczach. Nakoniec rzekł: To nie jest zwyczajny wiersz; to muzyka. A ten poeta... jakże go nazwał?... Matensz?...

Czy chcesz go zrobić ewangelistą? odpowiedział Florio z uśmiechem. On nazywa się Matthiesson.

— A niechże go! Toć ten przekłety Matthiesson ukradł mi moje myśli z dzisiejszego wieczoru. Patrz! Wszak to sama melodyja. To żyje i drga coraz żywiej... coraz większej nabiera siły.... Słychać szum liści.... Śpiew.... Wszystko burzy się, faluje, jakby całe stworzenie uleciało rozkoszemu zachwyceniu.... Patrz, albo raczej słuchaj!... Albo poczekał, wypijemy tylko.... Szampan jest wcale nie zły!... Musimy wypić zdrowie pana Fontany.

— Niech żyje pan Fontano!

Trącono się kieliszkami.

Pan Fontano przymusił się do słodkiej minki, gdyż Beethoven był mocno opisanym w jego księdze. Zawsze jednak miał nadzieję, że kiedyś odbierze swoje, i dla tego pozostał o ile można uprzejmym.

— Mówię ci, ciągnął dalej Ludwik, że ludzie nie a nie nie znają się na sztuce. Ach! kiedyś przyjdzie czas, że wystawią mi pomnik... i wtenczas może jeszcze mniejsze będą mieli pojęcie o sztuce niż je mają dzisiaj.... Jest miejsce, czy tam miasto, albo raczej mały Paryż, leży w Saksonii i nazywa się Lipsk; tam jest wiele kawy, cukru, jest dobry tytoń, są znakomite cygara, materyje jedwabne, sukna i liczni kupcy; ale nie są oni wcale tak głupi.. Ludzie chwają nasze południowe Niemcy.... Tak, gdy idzie o połechtanie uszów, to jeszcze jakoś ujdzie... ale jeżeli chcesz trochę głębiej, to i w Wiedniu nie ma co... Ale ten Lipsk przyrośł mi do serca. Chciałbym choć raz tam być... Opisano mi go jako bardzo prozaiczne miasto, ale toć my zawsze wdychamy do tego, co jest od nas dalekiem....

Po cóż ci daleko szukać?

Patrz, co dobre, blisko tu!...

tak mówi mój nieznajomy przyjaciel. Zapewniam cię... z Schillerem, to jakoś tak i siak, ale ten Goethe to ma dyjabła w sobie! Rozumie się, że Shakespeare przeszedł ich wszystkich. I Jean Paul wcale nieczego...

— Niechaj żyje!

Florio chciał protestować.

— Sza, sza, przerwał mu Ludwik, jego poezja jest muzyką.

Florio trącił kieliszkiem, i szampan popłynął na zdrowie Jean Paula.

— Skończyłem nową symfonię, rzekł Ludwik; muszę ją tylko jeszcze napisać. Jest ona z C dur. Dziwaczny to utwór. Gdybym tylko nie umarł przy pisaniu finału, gdyż to przechodzi ludzkie siły. Ten finał spowodował mi kilka bezsennych nocy. To będzie wyższem od wszystkiego co dotąd istniało.

— Ty mnie nie słuchasz! zawołał Florio. Zobaczysz, że będę cię jeszcze musiał wziąć w kuracyję.

— Ba! odpowiedział Ludwik, gdyby artysta chciał pójść za radą lekarzy, to znaczyłoby to samo co: bądź zdrowa sztuko! Artysta powinien stworzyć coś nadludzkiego, a do tego potrzebne są nadludzkie wysiłki.

— A jeżeli przez to sprowadzisz sobie śmierć przedwczesną? zapytał Florio.

— Basta! odpowiedział Ludwik. Wtenczas pocieszę się tem, że będę żył wiecznie. Byłoby mi bardzo przyjemnie, gdyby katowi wolno było za pieniądze i dobre słówko ściąć głowę każdemu, kto do niego się o to zgłosi. Ja bym zaraz do niego poszedł z prośbą o zdjęcie mi tego mizernego caput, w którym obecnie nie ma nie prócz jednej symfonii z C moll. Wtenczas już żaden szaloputa adwokat nie mógłby się do mnie przyczepić; wtenczas od razu, wszystkie weksle, w których zapisujemy duszę naszą dyjabłu, byłyby spłacone.

— Ty, mój bracie, jeszcze zrobisz majątek, rzekł Florio.

— Ja, majątek? zawołał Ludwik drwiąco. Mój przyjacielu! Sztuka i fortuna, to jest to, co się w codziennem życiu zwie fortuną, są wiecznemi antypodami. Co do mnie, pozostanę przez całe życie nieszczęśliwym. Ale dziś jestem szczęśliwy. Jeszcze raz: niech żyje Adelaida!

Florio trącił. Kieliszek Beethovena rozbił się.

— Ho! ho! zawołał tenże, patrzaj, to zły znak.

Beethoven chciał wypić jeszcze jedną butelkę, ale jego szczery przyjaciel, młody doktor medycyny, pociągnął go za sobą z winiarni i odprowadził do domu, to jest do domu, w którym Beethoven mieszkał na czwartem piętrze, na komornem, gdyż artyści nie mieszkają domów własnych.

III.

Adelaida.

Słowiki śpiewały w zaroślach, wodospad szumiał, motyle i nimfy igrając latały po nad strumykiem, kwiaty i trawy ugiwały się pod teńnięciem wiosennego wiatru. Wzgórza jaśniały w promieniu pogodnego słońca, a na ich mchem pokrytej powierzchni rysowały się fantastyczne obrazy. Ale ten powiew i te promienie i te barwy kwitnących w okół kwiatów, były jakby muzyką, która, na pozór w beładnym chaosie, tryskała tysiącem czarujących melodyj.

Beethoven siedział samotnie na tarniowej ławeczce, w cieniu starego dębu, którego dziwnie uformowany kształt wydawał mu się być obrazem jego najnowszej symfonii. Dąb dźwięczał z C moll, wszystko zaś w okół było z Es i As dur.

Ludwik oparł się niedbale o pień dębu. Jego kapelusz leżał zdala od niego, prawie do połowy zanurzony w wodzie, tuż obok płynącego strumyka. Miał on przed sobą kawałek papieru, na którym były wiersze Matthiessona. Im więcej się w nie wpatrywał, tem jaskrawiej w okół kwitnęły kwiaty. Dźwięczały one nawet, a szczególnie konwalije dzwoniły mocno swojemi kielichami, jakby chciały go ukołysać do czardziejskiego snu. Wlepił on spojrzenie pełne marzenia w niezmierzoną przestrzeń lazuru. Wodospad grał; odległe góry zwracały echo słodkich melodyj. Liście dębu i gałązki krzaków drżały coraz więcej i coraz żywiej, a nawet obłoki tam wysoko, z ich złocistą powłoką, były przepełnione harmoniją i nadziemskimi

tony, i wszystko cokolwiek widział na około siebie, powtarzało mu tylko jedno imię, a to imię było: *Adelaida*.

Był to sen słodki. Zwyczajne, szare barwy życia przedzierzgnęły się w złociste kolory, i martwa, zdrętwiała przyszłość uśmiechnęła się doń nieskończonym różowym rajem; zimne zwłoki nadziei powstały przed nim z grobu i szepnęły mu: ja żyję znów i wkrótce zjawię ci się w urzeczywistnieniu.

I śniło mu się wtenczas o symfonii: z *A* dur, o symfonii pastoralnej, o symfoniach z *B* dur i z *F* dur i o wielu innych świetnych dziełach, które wszystkie w postaci endnych dziewic, jakby nadludzkie istoty, przesunęły się przed nim, opromienione blaskiem wiecznej piękności.

Zanim się spostrzegł, już na papierze nutowym, który miał z sobą, była napisana melodia. Ucałował nuty, i ze łzami w oczach zawołał: *Adelaido! Adelaido!* o ty moja najdroższa!

Nazajutrz, ozdobny odpis pieśni znajdował się w rękach *Adelaidy*.

IV.

Zrzeczenie się.

Pewnego pięknego wieczoru, w jesieni, *Ludwik* siedział znów z swym przyjacielem *Florio* u *Włocha Fontano*, w poetycznym kąci winiarni. *Florio* przepędził był pół roku w podróży i dopiero co wrócił.

— *Beethovenie*, ty zaczynasz pić! rzekł *Florio*. Mówiono mi o tem.

— Moeno mnie to boli, że muszę pić, odparł *Beethoven*; ale to przejdzie.

— Znam smutne przykłady o takich, którzy zeszli aż do wódki, rzekł *Florio*. Mój kochany, mój dobry *Beethovenie*, błagam cię, oszczędzaj się!

— Cha! cha! zaśmiał się *Ludwik*. Artysta i oszczędzać się! Przestań, przestań doktorze! I chociażbym jutro miał umrzeć, tem lepiej! W zaufaniu mówiąc, bardzo sobie życzę śmierci. Często zastanawiałem się nad tem, co jest większą zbrodnią: czy odebranie sobie życia lub też życie wśród hańby.

— A czyliż muzyka nie daje ci na to odpowiedzi? odparł *Florio*. Wszak wiesz, że obok mojej medycyny, jestem też kawałkiem muzykusa. Dawniej, miałem fortepijan. Dyjabli go wzięli. Teraz lubię zagrać sobie czasami u ciebie; ale to ci zapewne nie robi przyjemności, słuchać mnie?

— *Florio!* Mówię do ciebie z całą otwartością, zawołał *Beethoven*, ja w ogóle nie lubię, gdy kto gra u mnie. Częstoś mnie mordował swojemi szalonymi akordami i okropnemi przejściami. Aż mnie mrowić przechodzi, gdy o tem wspomnę.

— Przebac! rzekł *Florio*, nalewając pierwszy kieliszek drugiej butelki. Ja może tyleż czuję co ty; nie umiem tylko tak wyrazić. Zechej pamiętać o tem, że ja muszę chorych leczyć.

— A ja, przerwał mu *Beethoven*, mam uleczyć muzykę, która prawdopodobnie wkrótce umrze od zarazy. Komu więc gorzej: mnie, czy tobie? Tyś już nie jedną odbył szczęśliwą kuracyją; ale uleczyć panów *Regla* i *Melosa*, to chyba niepodobna!

— A propos! zapytał *Florio*. Jakże z *Adelaidą*?

— Wyszła za męża! odparł *Ludwik* z sardonicznym uśmiechem. Jest może szczęśliwszą niż by nią była ze mną.

Łzy zmieszały się z uśmiechem *Beethovena*, gdy to mówił.

— Słuchaj *Florio*, ciągnął on dalej. Ty jesteś stworzonym dla tego świata i świat ten dla ciebie; ale ja, mówię ci, skończyłem z nim teraz i zerwałem z miłością. *Adelaida*, ach jakżem ją kochał! Szalałem za nią; jej zawdzięczałem dwie nowe symfonie i jedną operę, oprócz tego dwa tria i jedną sonatę. Patrz, ta *Adelaida* wyszła za barona *Holendorfa*, tego wysokiego, chudego, żółtkiego trutnia... Ja nie jestem przystojnym, ale wytrzymać mogę porównanie z tą tyczką, która nie ma serca, tylko pieniądze i dobra. Ach! a ja w mem ubóstwie miałem tak czyste serce, i ono całkiem do niej należało... Posłałem jej pieśń *Matthissona*, która mi się wcale nie źle udała. Odpisała mi. Parę razy widzieliśmy się potajemnie. Przeżyliśmy piękne chwile. Mówię ci, dziewczyna była zupełnie odurzona i ja także. Od tego czasu częściej bywałem u *Erdmannów*. Od razu otrzymuję od pana ojca list, którym mi dom swój zamknął. Oślupiałem. Potrzebowałem pieniędzy, a nie byłem zdolnym do komponowania. Wybacz mi, jestem człowiekiem; może później uważać mnie będą za coś więcej. Tobie muszę wszystko powiedzieć. W ośm dni potem, słyszę, że *Adelaida* wyszła za męża, za tego cienkiego jak cybuch barona. Przez czternaście nocy z rzędu, nie spałem wcale. Teraz znowu śpię dobrze. O! kochany *Florio!* odtąd żyć będę na tym świecie jedynie dla świata wyższego. Miałem przecudne sny. Wiem o przyszłości, która wynagrodzi mi wszystkie doznane cierpienia. Czasami zdaje mi się, że umarł i że duch mój unosi się w sali koncertowej nad publicznością, a wszyscy szepczą moje nazwisko. Zaczyna się symfonia z *C* moll; słuchają; dreszcz po nich przechodzi. *Es* dur i *As* dur kołyszą wszystkich w słodkie marzenia. Publiczność wpada w zachwycenie. *C* dur budzi ją. Nadchodzi olbrzym. Ale po co ja to mówię? Klęczę, jeżeli to dzieło nie wywrze wpływu, jeżeli ono nie wstrząśnie ludzi do głębi szpiku, wtenczas cały świat jest głupim, niezgrabnym kłosem... Ale mówiąc pomiędzy nami, panom *Regel* i *Melos*, przy słuchaniu mojej symfonii, uszy wyrosną jeszcze na łokieć dłużej...

— A *Adelaida*? zapytał *Florio*.

— Daj jej pokój! odparł *Ludwik*. Nie kocham już nieziemskiego. Moją *Adelaidą*, moją wieczną kochanką odtąd będzie muzyka. Moje z nią małżeństwo będzie płodne. Zerwałem na zawsze z kobietami. Czasami mógłbym oszaleć, gdy widzę przed sobą taką piękną postać, która jest samą melodią i harmonią. Ale teraz szukam jedynie dyssonansów i szydę ze zwykłej harmonii. Wkrótce znienawidzę i mężczyzn, a tem samem zerwę z całą ludzkością.

— Czy i ze mną? zapytał *Florio*.

— Nie wiem, czy będziesz stanowił wyjątek, odpowiedział *Ludwik*. Gdy pomyślę o mojej *D* moll symfonii, która kiedyś ma być mojem ostatniem dziełem, do którego jednak daleko nie jestem dojrzałym, to już i o tobie mowy

być nie może. Wtenczas będzie mi tylko szło o wielką nienawiść i wielką miłość dla całej ludzkości. *Florio* ciągnął on dalej, robi mi się miękko na sercu... Pójdźmy! Jeszcze jeden kieliszek na zdrowie: *Adelaidy!*

— I na stałość naszej przyjaźni, aż do końca świata!

Beethoven, ze łzami w oczach porwał się z miejsca i pociągnął za sobą przyjaciela.

d. c. n.

STAW KSIĘDZA OPATA

przekład z angielskiego.

(Dalszy ciąg).

ROZDZIAŁ IV.

Wyjaw mi twego smutku przyczynę.
Drogi mój panie! *Shakespeare*.

Słabość pana *Denbigha* krótko trwała. Kilka dni zupełnego spoczynku uleczyło ją zupełnie. *Elsie* nie zapomniła bynajmniej o postanowieniu jakim ją natchnęła rozmowa ze starą sługą, ale nie łatwo jej było znaleźć sposobność doprowadzenia go do skutku. Nieraz starała się naprowadzić rozmowę do wielkiego pytania:

— Jaki jest powód twego tajemnego niepokoju, *Filipie*? lecz zawsze w ostatniej chwili zabrakło jej odwagi.

Jednego wieczoru, gdy razem siedzieli, pan *Denbigh*, ni z tego ni z owego, zapytał żony, czy nie czytała kiedy *Southaja All for Love* (wszystko dla miłości), a odebrawszy przeczącą odpowiedź, powiedział, że przeczyta ten utwór. Gdy skończył, zapytał jak jej się to podoba?

— Bardzo piękne, odrzekła, zdaje mi się tylko, że nienaturalne.

— Jakto? sądzisz więc, że szatan nieplądruje już po świecie szukając kogoby mógł pożreć?

— Nie to miałam na myśli. Chciałam powiedzieć, że niepodobna przypuścić, aby małżeńskie pożycie *Cyry* mogło być tak spokojne i szczęśliwe, przy boku tego okropnego człowieka.

— Tak sądzisz? nawet kiedy.... „kochał ją tem silniej, ten występny i nieszczęśliwy człowiek im drożej jej posiadanie opłacał.“ Czyliż ta miłość niezastługiwała na odrobinę wzajemności, jakkolwiek złym mógł być ten biedak?

— Nie mówię, żeby ona go kochać nie mogła. Ale właśnie im więcej go kochała tem więcej musiała czuć przepaść, która ich dzieliła. Tak mi się przynajmniej zdaje. O! to jest okropna, rozdzierająca powieść; szczęście, że nie prawdziwa.

— Tak jest, to szczęście w istocie, powtórzył pan *Denbigh*, po czem nastąpiła chwila milczenia. *Elsie* przerwała ją temi słowy:

— To jedno dostatecznemby już było do uczynienia nieszczęśliwą bohaterki tego poematu, że musiała miarkować, iż męża jej otacza atmosfera niepojęta dla niej; że coś przed nią

jest ukrytego. Może być coś okropniejszego dla kochającej kobiety?

To rzekłszy zamilkła, a czując się na krawędzi swego wielkiego pytania, zarumieniła się tak znacząco, że mąż zapytał jej w swój zwykły podejrzliwy sposób:

— O czym teraz pomyślałaś, Elsie?

Ona wstała ze swego miejsca i ukłękła przy nim. Zarzuciła obie ręce na jego szyję, i skłoniła głowę na jego piersi, tak, że nie mógł widzieć jej twarzy.

— Pomyślałam sobie, rzekła z mocno bijącym sercem, że byłoby mi bardzo boleśnie, gdybyś cokolwiek ukrywał przedemną, jaką swoją przykrość, lub zmartwienie. Cobądźby to było, chciałabym wiedzieć i dopomóc ci do zniesienia tego.

Skończyła swoją małą przemowę, zdziwiona że jej nie przerywał; on bowiem ani się poruszył, dopóki nie podniosła na niego oczu, w obawie, czy go nie rozgniewała. Ale w jego twarzy nie było śladu gniewu; spojrzał tylko smutnie na żonę i rzekł do niej:

— Skąd ci przyszły takie przywidzenia, moja biedna Elsie?

— Przychodziło mi czasem na myśl, kiedyś cię widziałam przynębionym i roztargnionym, że ci jakaś tajemna zgryzota dolega; może coś takiego, czegoś nie rad przedemną powiedzieć; i zawsze pragnęłam cię uprosić, abys mi zaufała, i nie ukrywał nic przedemną. To nie jest prosta ciekawość, drogi Filipie, ale chęć podzielenia z tobą przykrości, jakakolwiekby ona była, i upewniam cię, że wszystko znieść potrafię, bylebym miała to przekonanie, że mi ufasz zupełnie.

On wziął ją w swe objęcia i przytulił do siebie, gładząc jej miękkie jasne włosy.

— Biedną dziecic! rzekł, jakoby sam do siebie, przyczem ciężkie westchnienie dobyło się z jego uciśnionej piersi.

— Filipie, nalegała ośmielona Elsie, jeżeli masz jakie zmartwienie, powiedz mi je. Mnie wszystko jedno, jakiegokolwiekby ono było.

— Czy tak? Sama nie wiesz co mówisz, Elsie. A jeżeli ja też, podobnie jak Elcemon, zaprzedałam się szatanowi dla twojej miłości?

Obrażona nieco, że ją zbywał żartami jak dziecko, pani Denbigh, rzekła z godnością:

— Nieśmiej się zemnie Filipie. To twoja stara mamka pierwsza niepokoić się o ciebie zaczęła, i podobno mnie zaraziła. Ułożyła sobie, że otrzymałaś jakieś złe wiadomości, lub że cię spotkało zmartwienie wieczorem w wigilię naszego ślubu. Dokądże idziesz Filipie? Co się stało?

— Ktoś dzwoni do apteki, odpowiedział już zedrzwia.

Po kilku minutach powrócił.

— Nikt nie dzwonił rzekł: Zdawało mi się. Mów dalej Elsie. Zaciekawiałaś mię. Nie wiedziałem, że Isott tak się zajmuje moimi sprawami. Cóż więc miałem usłyszeć, czy uczynić w dzień naszego ślubu?

— Poprzedniego wieczoru; ale rzeczywiście nie warto o tem mówić, dla tego ci tylko powiadam, żebyś zakazał plotek twojej Isott, i powtórzyła mu wszystko, co usłyszała od starej kobiety i jej wnioski, jakoby ukrywał jakiś niepokój czy zmartwienie przez wzgląd na żonę.

— A wiesz Filipie, dodała, że to byłoby dla mnie najboleśniejsem; wszystko inne zniosę łatwiej.

— Cóżbyś na to powiedziała Elsie, gdyby się okazało, że ja kochał cię więcej nad Bogą i nad własną duszę?

Ona spojrzała na niego, niemal przestraszona. On chwilę wpatrywał się w jej zaleknioną twarz, potem wybuchnął głośnym śmiechem.

— Co za szkoda, że tak wielkie zajęcie musi się skończyć na niczem! rzekł żartobliwie. Czyż nie przyszło nigdy na myśl ani tobie kochanko, ani poczeiwej Isott, że ludzie poświęcający się zawodowi medycznemu, otrzymują czasem telegraficzne depesze o niezwykłych godzinach, i że mogą być roztargnieni i nie w humorze, nie mając żadnej strasznej tajemnicy na sercu?

— Telegraficzne depesze! powtórzyła Elsie zwolna, jak gdyby rozważając tę nową myśl czyż tak było rzeczywiście? Więc to był posłaniec z biura telegraficznego? Musisz doprawdy śmiać się ze mnie Filipie, że tak jestem ciekawa, kto to mógł być?

Filip Denbigh uśmiechnął się rzeczywiście, i poszedłszy prosto do biurka, w którym chował swoje papiery, wyjął jedną z tych ostępłowanych kartek, których widok niejdno serce do żywszego tętna pobudza. Był to telegram z Briswiku, donoszący o stanie zdrowia jednego z pacjentów pana Denbigh i datowany w wigilię jego ślubu.

Elsie zawstydzona spuściła głowę. Filip nie mógł znieść widoku jej zakłopotania, schylił się i ucałował jej czoło.

— Jutro się rozmówię ze starą Isott, rzekł: te niezdolne baby, które człowieka w niemowlęctwie karmiły i piastowały, nie mogą tego pojąć, że kiedyś może obejść się bez ich opieki.

— Nie gniewasz się na mnie? zapytała nieśmiało Elsie.

— Ja miałbym gniewać się na ciebie? O moje biedne dziecko, rzekł siadając znowu z ciężkim westchnieniem, ja miałem nadzieję, że cię uczynię szczęśliwą, a podobno przyniosłem ci tylko niepokój, troskę i zmartwienie. Lepiej dla ciebie było, gdybyś mię nigdy nie była poznała.

— Musisz się gniewać na mnie, bo inaczej takbyś nie mówił, rzekła. Wiesz o tem, że się uważam za najszcześniejszą kobietę w świecie.

— Jakkolwiekbyś, jesteś moją żoną, rzekł nagle; wzięłaś mnie takim, jakim jestem, moja biedaczko, i musisz krzyż swój znieść, cokolwiek się stanie. Siadź więc tu Elsie droga, i pozwól mi złożyć głowę na twem ramieniu, bo dziś jestem bardzo znużony. Otak! kochanko moja, jestem bardzo, bardzo zmęczony!

Po upływie kilku dni pan Denbigh w zupełności powrócił do dawnego zdrowia, i z nowymi siłami wziął się do pracy.

Czas szybko upływał; minęło lato, minęła zima znowu powróciło lato, a spokojny bieg cichego wiejskiego życia niczem nie został zakłócony. Elsie Denbigh ani się spostrzegła jak minęły dwie rocznice jej ślubu i trzecia się zbliżyła. Przez ten czas powodzenie pana Denbigha ciągle wzrastało pod każdym względem; sława jego się rozszerzała, dochody się zwiększały, i w całej okolicy uważanym był za wzór człowieka zasłużenie szczęśliwego. Miłą

małżonkę swoją uwielbiał więcej niż kiedy, a od kilku miesięcy podwójnie tklawo otaczał ją troskliwością; gdyż największe błogosławieństwo, bez którego najszcześniejsze małżeństwo jest niezupełnem, miało się wkrótce stać jego udziałem. Serce Elsie przepełnione było radosną wdzięcznością; to ją tylko dręczyło, że nie mogła dobrze wyrozumieć jakie były pod tym względem uczucia męża. Cieszył się wprawdzie widokiem jej uszczęśliwienia, i z upodobaniem patrzył na jej radosne macierzyńskie przygotowania; jednakże ona spostrzegła, i to ją nie pomału dziwiło, że chociaż ze szczerem zajęciem oczekiwał przyjścia tego nowego skarbu, oczekiwanie to widocznie łączyło się z wielkim niepokojem.

Pewnego styczniowego poranku Elsie stała w oknie wyglądając powrotu męża, który się spóźniał na śniadanie, i przypatrywała się bezmyślnie zimowemu krajobrazowi, w którego głębi wznosiły się, na białym tle okrytego śniegiem pola, wysokie drzewa z wiszącymi na nich, i odbijającymi się w ponurych wodach stawu księdza opata, grubemi sopłami lodu.

Odwróciła się gdy wchodził Filip Denbigh, zacierając ręce i wyrzekając na zimno. Na stole leżała świeża przyniesiona torba z listami, od której kluczyk nosił zawsze przy łańcuszku od zegarka: otworzył ją i wyjął listy.

— To mi nie na rękę, rzekł przejrzawszy pierwszy z nich. Oto wzywają mnie do Londynu, abym się stawił jutro w sprawie wyrobnego domu Briswiku. Dziś muszę jechać.

— Jak to źle wypada! a właśnie jutro wieczór pani Carter ma przyjść do nas na herbatę ze swemi dziećmi i siostrzeniczkami. Będzie Cię nam brakowało. Co za szkoda.

— To jeszcze nie tak wielkie nieszczęście; tykoż ty mi się nie utrudź zbytecznie, mój aniołku. Będę się starał pojutrze wrócić do domu.

— Spodziewam się, że wrócisz. Przecież to pojutrze rocznica naszego ślubu!

Wypadało panu Denbighowi jechać pociągiem odchodzącym z Slowcombu o pierwszej godzinie z południa. Ponieważ zaś powóz pocztowy przejeżdżał przez Sedgebrook o dwunastej postanowił przeto korzystać z niego, nie narażając swego konia na ślizgawicę.

— A ja cię odprowadzę, rzekła prosząco Elsie, spiesząc czynić potrzebne przygotowania do niespodziewanego odjazdu męża. On się zawahał, ale nie potrafił się oprzeć błagalnemu wyrazowi jej twarzy, i odpowiedział:

— Dobrze, dobrze, nie mogę ci odmówić. Ale Jonatan pojdzie za nami i odwiezie cię do domu. Nie pozwolę na to, abys się ryzykowała po tych ślizgich ścieżkach, bez opieki mego ramienia.

Często potem stara Isott przypominała sobie, jak stojąc w drzwiach patrzyła za odchodzącymi; jak silny mąż miarkował swój krok do wolniejszego stapania delikatnej małżonki, która wspierała się na nim bardziej z miłości dla tego opiekuńczego ramienia, niż z rzeczywistej potrzeby. Inni także opowiadali później jak ci szczęśliwi małżonkowie szli przez główną ulicę rozmawiając poufale; jak on wsiadłszy do powozu oglądał się za nią, dopóki tylko mógł, i jak ona smutnie powróciła do domu.

Goście, o których wspominała pani Denbigh byli bardzo nieliczni: całe towarzystwo miało się składać z rodziny wikarego, którą chciała ugościć. Wikary i jego żona, byli jedynymi dorosłymi osobami w tem gronie; ale pani Denbigh prowadziła życie tak ciche i jednostajne, że ta mała rozrywka była już wypadkiem dla niej, i troszczyła się o to, aby jej mieszkanko jak najładniej wyglądało. Spędziła całe popołudnie zimowe popołudnie na odnowieniu zielonych gałązek dzikiego mirtu, którymi odświąt Bożego Narodzenia salonik był przystrojony, i dosyć się przytem umęczyła.

Godzina przyjęcia była wyznaczona bardzo wczesna, jak się tego łatwo domyśleć. O szóstej godzinie wieczorem już było po herbacie i towarzyszących jej przysmaczkach, i całe towarzystwo przeszło do saloniku, gdzie dzieci miały się bawić w gry, wiekowi swemu właściwe. Niebawem czworo dzieci wikarego i dwie małe jego siostrzeniczki napełniły wesołym gwarem zwykle tak cichy salonik.

— Jak ślicznie wygląda dziś pani Denbigh! szepnęła pani Carter do swego męża; zdaje się jak gdyby piękność jej coraz świeższego nabierała powabu, nieprawdaż?

— W samej rzeczy doskonale wygląda; bardzo jej do twarzy w tym czarnym aksamicie, i nadzwyczaj pogodnie dziś ma wejście.

Elsie rzeczywiście nigdy jeszcze tak piękną nie była; jej biała pleć i błękitne oczy korzystnie odbijały od czarnej sukni, która ze swym kwadratowo wyciętym stanikiem i wiszącymi rękawami, czyniła ją podobną do obrazu starożytnej szkoły. Za całą ozdobę miała ciężki, staroświeckiej roboty srebrny garnitur, a ładna jej twarzyczka milszą się jeszcze niż kiedy wydawała.

— Niech się pani zbytecznie nie męczy, rzekła do niej pani Carter, widząc że znowu usiadła do fortepianu.

— O! to mię wcale nie męczy, odparła z uśmiechem. Ja tak lubię kiedy się dzieci weselą! Szkoda że Filipa tu nie ma.

— Ja nie podzielam tego zdania, pomyślała w duchu pani Carter. Dziwna rzecz, jak ja cierpieć tego człowieka nie mogę.

Kiedyż go się pani spodziewa? zapytała głośno.

— Może jutro.

— Oto Isott telegrafuje do pani odedrzwii, rzekła pani Carter; zdaje się że ma do pani interes.

Pani Denbigh poszła ku drzwiom, a służąca wyprowadziła ją do przedpokoju; jej pocziwa pomarszczona twarz, wyrażała przykre zakłopotanie, gdy rzekła do swej pani:

— Jest tu jakiś mężczyzna, który ma interes do pana; a gdy mu powiedziałam, że pana nie ma w domu, oświadczył, że chce się widzieć z panią. Cóż mam mu powiedzieć?

— Cóż to za człowiek?

— Jakiś oryginał, proszę pani; wygląda na kształt marynarza, jeżeli nie jest, Boże odpuść, włóczęgą polującym na łóżki po kuchniach; ale ja go zaprowadziłam do apteki, gdzie się chyba tylko w mixtury i pigułki zopatrzy.

— Czyś mu powiedziała, Isott, zapytała Elsie, że pan Denbigh będzie w domu jutro, a najdalej pojutrze?

— A jakże; ale on mówi, że z panią tak samo się może rozmówić, jak z panem. Przykro mu że pani przeszkadza, mówi, ale minutę tylko zabawi.

— Zaczekajże tu chwilę póki ja nie powrócę, moja Isott, rzekła pani Denbigh. Czy jest tam światło? To dobrze. Zaraz przyjdę.

Przeprosiwszy panią Carter, której objaśniła powód swej nieobecności, pani Denbigh spokojna i pogodna przeszła przez sień i weszła do apteki, gdzie na nią czekał nieznajomy mężczyzna.

ROZDZIAŁ V.

„Lękałem się okrutnych skał oceanu,
A w tem wzniosły się burzliwe fale,
I odtrąciwszy mię od swego łona,
Rzuciły na łup okrutniejszych ludzi.“

Pokój, zwany apteką słabo był oświetlony, jedną łojową świeczką, pani Denbigh wchodząc do niego, poczuła oprócz zwykłego aptecznego zapachu, mocną woń tytoniu zionącą jak się zdawało z wielkiego poręczowego krzesła, na którym siedział z wyciągniętymi nogami wysoki, barczysty mężczyzna, ubrany niedbale w wiszącą myśliwską kurtkę. Za wejściem pani Denbigh zerwał się okazując twarz czerwoną i ogorzałą, okoloną lasem czarnych włosów i takąż brodą, oraz gołe ręce, widocznie spracowane i zczerniałe. Pani Denbigh stanęła mileżąca, zaniepokojona nieco widokiem tej pół dzikiej postaci; nieznajomy także zdawał się zdziwiony, jak gdyby śliczna postać, która się przed nim zjawiała w powłóczystej aksamitnej sukni, ze srebrnymi zausznikami w różowych uszkach i takimże naszyjnikiem na białej utoczonej szyi, nie była podobną do obrazu żony doktora, jaki sobie w myśli utworzył. Ochłonawszy z pierwszego wrażenia, ukłonił się z uprzejmą grzecznością, która przekonała panią Denbigh, że nie miała przed sobą takiego gburą jak się zdawało, i rzekł głosem o wiele delikatniejszym, niż można się było spodziewać po jego zaniedbanej powierzchowności:

— Przepraszam panią, zdaje się że wcale nie w porę przybyłem, pana Denbigha nie ma w domu, czego mocno żałuję?

— Mój mąż wyjechał do Londynu, odpowiedziała Elsie sama stojąc, i nie prosząc go siedzieć, tak jakoś nie mogła zupełnie przyjść do siebie; ale spodziewam go się jutro, a najdalej pojutrze. Czy pan życzy sobie zostawić jaki list do mego męża?

— Nie, pani. Sądzę że pani sama potrafi mi udzielić potrzebnego objaśnienia: chodzi mi tylko o adres kapitana Claveringa.

Elsie drgnęła jak gdyby ją kto sztyłem w serce ugodził. Pierwszą jej myślą było że ten nieznajomy, dla jakiejś niewiadomej jej przyczyny, chciał jej dokuczyć, lub obrazić ją okrutnym żartem. Następnie przypuściła że mógł być dawnym przyjacielem jej pierwszego męża, i nie wiedzieć że żona Filipa Denbigha była wdową po Herbercie Claveringu. Uczuła się nagle zmieszana i zawstydzona jak gdyby była popełniła występki który ma w tej chwili wyjść na jaw; pragnąc jak najprędzej pozbyć się nie milego gościa odpowiedziała mu:

— Więc pan nie wie że on się znajdował na *Ametyscie*, który się rozbił przed siedmiu laty.

— Właśnie też. Kiedyśmy się rozstawali w Aucklandzie, powiedział mi że pan Denbigh jest jego najlepszym przyjacielem, i że gdybym kiedykolwiek nie wiedział gdzie go szukać, u niego zawsze się dowiem z pewnością o miejscu jego pobytu. Trzeba pani wiedzieć że byliśmy nieodstępni towarzyszami z pocziwym Claveringiem. Może pani nawet znajome moje nazwisko — Johan Smith.

Tu przypomniała sobie pani Denbigh ustęp z pierwszego listu biednego Herberta, w którym wspominał że przyjął na pokład *Ametystu* dawnego znajomego tego nazwiska, który się udawał do Nowej Zelandyi. W tej chwili zapomniała o swoim fałszywym położeniu, nawet obawa zazdrośnego gniewu Filipa ustąpiła przed chęcią wybadania człowieka, który widział jej męża tak krótko przed jego zgonem. Zawołała więc skwapliwie:

— O tak! znam pańskie nazwisko. Wszakże pan byłeś jednym z pasażerów *Ametystu*? I czy na długo przed jego rozbiciem opuścił go pan? Bo wiadomo panu że *Ametyst* się rozbił.

Teraz pan Smith z kolei okazał się zdziwionym.

— Naturalnie że się rozbił, ten potępieniec, rzekł, nie wart żeby na nim psa wysłać na morze, a nie dopiero chrześcijańskie dusze. Ja to byłem towarzyszem Claveringa na wyspie; dopiero w Nowej Zelandyi rozłączyliśmy się, i od tego czasu nie wiem co się z nim dzieje. Tak mu się poszczęściło, że parowiec odpływał do Anglii tego samego dnia kiedyśmy wylądowali, i on zabrał się na nim, nie tracąc nawet czasu na kupienie sobie nowej odzieży. Ale zdaje mi się, dodał uprzejmie pan Smith, że się jakoś nie dobrze rozumiemy.

Skąd pochodzi cudowna siła która umacnia ludzkie serca w chwilach nadzwyczajnych przesilen? Któż z nas nie doznał kiedykolwiek odrętwienia które w takich chwilach ogarnia duszę, zostawiając nam swobodę działania, ale odejmując władzę uczucia? Taki był stan Elsie Denbigh.

Chociaż nie wątpiła że jest bliską zrobienia jakiegoś strasznego odkrycia, nie doznawała dotkliwej boleści, ale była zdolną odgrywać swoją rolę, jak to czasem się dzieje przez sen, przyjmując wszystko z niewzruszoną obojętnością, patrząc na siebie niejako z zewnątrz, i dziwiąc się niewyraźnie własnemu położeniu i własnej spokojności.

Łagodnym przeto i niezmiennym głosem przemówiła.

— Bądź pan łaskaw usiąść. Ja rzeczywiście nie dobrze pana rozumiem.

A usiadłszy sama, przysunęła swoje krzesło do stołu, który ich rozdzielał, i oparła głowę na rękę, instynktownie twarz zasłaniając.

— Opowiedzże mi pan teraz, jeżeli łaska, rzekła jeszcze, o sobie i panu Claveringu. Pan byłeś na okręcie podczas jego rozbicia, czy tak pan mówił?

— Dziwna rzecz! pomyślał pan Schmith. Widać że pan Denbigh nie zwykł opowiadać o przygodach swego przyjaciela. Będę musiał się tem zająć i zaspokoić jej ciekawość, bo prędzej niedostanę adresu Claveringa.

— Ja myślę że byłem! odpowiedział głośno. Ach! co to była za okropna przeprawa! Spodziewam się, że pani nie będziesz nigdy nie podobnego słyszała.

— Słyszałam, że to miała być straszliwa burza.

— O tak! straszliwa, w całym znaczeniu tego wyrazu. Potem przepędziliśmy sam nie wiem ile godzin w otwartej łodzi miotanej na wszystkie strony przez rozrzucone fale, Clavering, ja, i kilku innych. Nakoniec wśród najzupełniejszej ciemności wpadliśmy na skałę, łódź nasza strzaskała się w oka mgnieniu, a my wszyscy wpadliśmy w morze! Brwr! nie miło dziś jeszcze o tem pomyśleć! Przepędziłem najokropniejszą noc uczepiony do skały, zanurzony do pasa w wodzie, co chwila oczekując rychło mię fale uniosą, pewny niemal że sam jeden z pomiędzy mych towarzyszy przy życiu dotąd pozostaje. Gdy nakoniec dzień zajaśniał, ujrzałem tuż przy sobie Claveringa, reszta wszyscy zginęli biedacy! Znajdowaliśmy się na długiej rafie podwodnej, po której z wielkim trudem wdrapaliśmy się na wysepkę, która sama była także tylko skałą. Nie znaleźliśmy tam nic innego na pożywienie prócz ciał morskich, które wcale nie są przysmakiem; jednakże potrafilimy przez dwa lata przeszło dusze nasze w ciałach utrzymać!

Pan Schmidt zamilkł; dziwno mu było, że słuchająca go postać ani się poruszyła, ani słówka się nie odezwała. Po chwili mówił dalej:

— Nakoniec zostaliśmy wyswobodzeni przez statek z Nowej Zelandyi, który przybył na połów ciał morskich i potem, jak już pani mówiłem, rozstaliśmy się, ja się udałem w głąb kraju, a Herbert Clavering popłynął do ojczyzny. Od tego czasu nie miałem żadnej wiadomości od niego, ani o nim. Czy pani mi nie może nic powiedzieć, gdzie się znajduje?

— Nie, odrzekła głucho. Ja nic nie wiem o nim. Nie mogę panu nic powiedzieć.

— To osobliwsza! Przecież pan Denbigh musiał go wiedzieć po jego powrocie? Wiem z pewnością że szczęśliwie przypłynął do Anglii, wiem przynajmniej że okręt na który wsiadł przypłynął, bo mi później wpadł w rękę stary Times w którym znalazłem wymieniony dzień jego przybycia! Było to 14-go Stycznia, właśnie dziś trzy lata temu.

14-ty Styczeń! trzy lata temu! Wigilia jej ślubu! Te myśli tłoczyły się w głowie Elsie Denbigh, ale uczucie jej ciągle było odrętwiałe i nie umiała sobie zdać sprawy z tego co się z nią działo. Jedno wszakże pytanie gwałtem z ust jej się wydzyrało, nic innego nie pojmowała.

— Nie wiem, powtórzyła jeszcze a brzmienie jej własnego głosu dziwnie się odbiło w jej uszach. Ale chciej mi pan jedną rzecz powiedzieć. Słyszałam, mówiono mi, że żona pana Claveringa dała mu pierścionek żegnając się z nim po raz ostatni. Nie pamiętasz pan czy go miał kiedy na palcu?

— O pamiętam! Clavering miał pierścionek, dosyć kosztowny pierścionek z rubinem, jak mi się zdaje. Mówiłem mu zawsze że to wielkie szczęście dla niego że miał trochę pieniędzy zaszytych w trzosie w chwili kiedyśmy zostali wrzuceni w morze, bo sądzę że byłby

wolał całe życie zostać na wygnaniu, niżeli sprzedać ten pierścionek dla zapłacenia za swój przewóz, tak mu był drogi!

— A może pani by mogła, rzekł nagle pan Smith jakby uderzony nagłą myślą—może pani by mogła mi wskazać gdzie znajduje panią Clavering, jeżeli samego Herberta nie ma w Anglii.

W tej chwili zmysł nieszczęśliwej kobiety ogarnął w prawdziwym świetle wszystkie szczegóły przeszłości. Przypomniła sobie nieznanego, którego dziwnie zaniedbana powierzchowność zwróciła uwagę starej Isott, stanęła jej w oczach błada i zmieniona twarz męża w dzień ślubu, wspomniła na jego szalony gniew, kiedy znalazła nieszczęsny pierścionek; przeszła myślą wszystkie okoliczności jego choroby, wszystkie jego dziwactwa, i zazdrośną obawę i zmierzyla pewnym okiem bezdenną otchłań występku i nieszczęścia która się nagle pod jej stopami roztwarzała. Wiedziała już, że Herbert wylądował w Anglii w przeddzień jej powtórnego zamęścia, wiedziała że mijając drzwi swego dawnego przyjaciela nie mógł się wstrzymać, żeby nie wstąpić na chwilę do niego, choćby tylko dla dowiedzenia się o nią; słowem pojęła całą okropną rzeczywistość!

Gdy pan Schmidt znowu przemówił, zdawało jej się że głos jego mięszał się z dolatującym hałasem bawiących się dzieci, a obadwa te odgłosy zlewały się w groźny huk spienionego morza które oszczędziło kochającego ją człowieka, sroższy dlań los zachowując. Czując że ją zmysły opuszczają powstała szybko, aby wyjść z pokoju, lecz nie obliczyła się z siłami, eiemno jej się w oczach zrobiło i padła bez duszy na ziemię.

Na odgłos tego upadku, Isott wpadła do pokoju, gdzie natychmiast za nią pośpieszyli oboje państwo Carter. Pan Schmidt tymczasem podniósł z ziemi panią Denbigh, i położył ją omdlającą na sofie.

— Cóż to wacpan jej zrobił? zapytała o-burkliwie stara sługa, zwracając głowę swej pani ku oknu, które wikary śpiesznie otworzył, aby ją orzeźwiło świeże powietrze, założyłabym się że znowu jaki urzędnik z telegrafu, mruknęła ciszej. Bodajby przepadły ich przekłete telegrafy. Nie rozumiem jak ludzie mogą zachwalać takie rzeczy, jak gdyby złe wiadomości nie dosyć prędko pocztą przychodziły!

— Co się to stało? zapytała pani Carter lecz Isott przerwała jej porywczo:

— Niech pani o nic nie pyta, na miłość Boską, bo nigdy jej nie docucimy. Idź pan sobie stąd, mój panie, my z panią Carter musimy same z nią pozostać. (d. n.)

BIBLIOTECZKA DOMOWA.

Zwycięstwo Heleny, powieść przez Z. K. Warszawa. Nakładem księgarni Stoppelle i Stan. 1875 r. str. 314, 8-ka duża, cena rs. 1. odbitka z „Wieku.“

Autor czy autorka tej powieści, snuje na skromnej tkance powszedniego żywota cichy

dramat walki uczuć serdecznych. Kobieta, której los przypadkowy zamknął na długo raj młodzieńczej miłości, która pierwszy poranek życia złożyła na ołtarzu ofiary, staje do walki z niezagłuszonymi pragnieniami serca. W piersi szlachetnej istoty budzi się zakazane uczucie; uroczą mara miłości z nęcącym obliczem syreny, staje przed wzrokiem podniosłej duszy.

Widzimy najprzód przed sobą dziecięcą postać młodzieńczego aniołka, którego dusza śpi snem niewiadomości, nie zacerpnawszy jeszcze ani jednej kropli z kielicha życia. Natura, ozdobiwszy niebiańską krasą lica dziewczęcia, nie zapomniła też o duszy i złożyła w tej czystej skarbnicy nadobne kwiecie podniosłych uczuć i pragnień. Przed zachwyconą wyobraźnią czytelnika widnieje cudny kwiat, nieświadomy piękności barw swoich, kwitnący uroczym pod ożywczymi promieniami słońca, wśród błogiej szczęśliwości, bez troski i goryczy.

Ale wnet silna dłoń losu powołuje do życia walki, tę słabą napozór istotę. Najpiękniejszym skarbem duszy dziewczęcia jest szlachetna skłonność do poświęceń i ofiary. Kiedy raz pierwszy ukazała jej się błada mara niedoli bratniej i upadku moralnego w postaci zaniedbanej dziewczyny wiejskiej, łza współczucia zrosiła te lica, na których jaśniał dotąd tylko wesoły uśmiech radości. I oto pierwszy raz odkryły się spoczywające w uspieniu skarby pięknej duszy, pierwszy raz ta piers dziewczęcia jeszcze zapragnęła złożyć na ołtarzu niedoli bratniej nadobne kwiecie czynu i poświęcenia. Wnet też mniemany obowiązek powołał ją do wielkiej ofiary. Któż był przedmiotem tej ofiary? Oto szlachetny człowiek, co w jesieni życia zapragnął ożywczych promieni, których mu wiosna poskapiła. Kiedyś w dniach młodości kochał on całą potęgą duszy uroczy ideał kobiecy, ale na samym progu szczęścia los okrutny wydarł mu ten skarb najdroższy. W wilią ślubu ujrzał martwe ciało najdroższej istoty, wydarte falom wody. Po dniach piekielnej rozpacz, nastąpiła cicha tęsknota na cmentarzysku najserdeczniejszych uczuć, która się wlokła zwolna za swą ofiarą, nie łamawszy jednakże potężnego ducha. Pan Józef Zaborski (tak się nazywał nasz bohater) poświęcił się skromnej pracy w zaciszu życia wiejskiego, działając wiele dobrego dla wszystkich, którzy tylko potrzebowali pomocy. Natura to była wzniosła, szlachetna i wspaniałomyślna. I tak snuło się zwolna jednostajne pasmo pracy i poświęcenia, aż i smutna jesień życia zajrzała w oczy i posrebrzyła skronie. Ale ciało było jeszcze krzepkie, a duch czerstwy i młodzieńczy. Nie więc dziwnego że na widok dziewczęcej postaci, która przypomniła mu żywo najdroższą w życiu istotę, zadrżała silniej gorąca jeszcze piers starego kawalera. Trzeba wam bowiem wiedzieć, że Helenka była siostrzenicą narzeczonej p. Zaborskiego i lica jej uderzały rażącym podobieństwem do zmarłej. W sercu Józefa zatlił się ogień tej miłości, która jest ostatniem słońcem życia i którą tylko wraz z życiem z piersi wyrwać można. Helena kochała swego kuzyna serdecznym uczuciem, którem młodość ozłaca niekiedy posiwiaste skronie! kochała go jak

ojca i szlachetnego człowieka. A tymczasem miała poświęcić mu całą młodość swoją, do starej piersi przytulić się na zawsze. Nie więc dziwnego, że usłyszawszy tę wiadomość od matki, zadumała się głęboko. Pierwszy to raz przed dziecięcą jej duszą stanęła poważna zagadka życia; z dziecka miała powstać kobieta, — żona. W piersi dziewczęcia żywsze pragnienia młodzieńczego serca spoczywały jeszcze w uspianiu, ale jakiś instynkt wewnętrzny powiadał, że do innego losu miała słusze prawo. Ale skoro stanęła przed jej duszą smutna prawda, iż od niej jedynie zależy całe szczęście najszlachetniejszego z ludzi, postanowiła spełnić mniemany obowiązek, zaświecić ostatnią jutrznią pociechy dla człowieka, ku któremu czuła serdeczne przywiązanie i cześć bez granic. Przed spełnieniem tej ofiary jedna okoliczność znacznie ją spotęgowała. Nikczemny młodzian, przyoblekwszy się w maskę szczerości i uczucia, stanął przed usnącą duszą dziewczęcia z wrzącymi słowami miłości i rozłił w niej ogień nieznanych dotąd pragnień. Nie więc dziwnego, że przed samem spełnieniem ofiary zachwiała się mężna dusza dziewczęcia. Ale na jedno słowo matki: „biedny, on zawsze nieszczęśliwy!” stanęła znów przed nią postać człowieka, dla którego była ona jedynem, ostatniem szczęściem życia, i dziewczę mężnie spełniło swój obowiązek!

Oto pierwsza, wstępna można powiedzieć faza uczuć, przez jakie przeszła bohaterka nasza. Teraz rozpoczyna się druga, nierównie dramatyczniejsza. W samej rzeczy należy przyznać, że autorka nader oryginalnie i szczęśliwie postawiła kwestyj. Widzimy tu walkę dwóch silnych uczuć: z jednej strony nieugaszone pragnienie młodzieńczego serca, z drugiej poczucie obowiązku, szczere przywiązanie i serdeczna cześć dla najszlachetniejszego z ludzi. Autorka rozwinęła tu cały proces głębokich a ukrytych uczuć, analizując je nader umiejętnie. Nie widzimy tu jaskrawych dramatycznych sytuacji; cały dramat snuje się w piersi bohaterki. Podziwiamy tu subtelny a głęboką analizę psychiczną, jaką rzadko u powieściopisarzy naszych napotkać można, a zarazem prawdę nieporównaną w całym rozwoju procesu duchowego. Autorka wstępuje na śliską bardzo drogę, na której często potykają się większe nawet talenta. W piersi Heleny zagorzał ogień uczuć zakazanych. Przed rozbudzoną zaledwie duszą kobiety, staje ułudna mara najsluszniejszych pragnień młodości. Niepodobna, aby ten kwiat wiosenny miał zwiędnąć w chłodnem objęciu jesieni; niepodobna, aby młodość pozostała na zawsze w ucisku starości. Trzeba doprawdy tytanicznej potęgi ducha, aby nie upaść na ciernistej drodze, aby nie tknąć ani razu nęcącego kielicha zakazanej słodyczy. Są popędy, gruchocejące najsilniejsze zapory enoty. Czyż podobna zabronić kwiatom wiosny, aby zrzekły się na zawsze ożywych promieni słońca; czyż podobna zabronić młodości, aby wyparła się na wieki tych uczuć, które wrzącą lawą płyną w jej łonie!

Jakiż talizman daje autorka swej bohaterce na tę trudną i ciernistą drogę zaparcia się najgorętszych uczuć i pragnień, jakie siły psychiczne stawia na straży domowego ogniska? Bardzo proste, zaiste, ale potężne — poczucie obowiązku i myśl, że spełnić powinna rozpoczętą ofiarę, że będąc ostatnią jutrznią życia szlachetnego starca, niegodną zdradą zabiłaby kochające serce.

Rozpoczyna się więc długa ukryta walka, której różnorodne odcienia skreśliła autorka z niepospolitym artyzmem. Gdy wśród tej walki upadał duch kobiety, powtórzyła tylko w duszy te słowa: „uczynię go szczęśliwym,” i wnet nową potęgę wlały one do zbolelej duszy. Miała więc przed sobą cel wielki, szlachetny, uszczęśliwienie biednego starca. Duch poświęcenia powstał w całej potędze swojej i zwalczał mężnie gwałtowne porywy młodzieńczego serca.

Ale przypatrzmy się bliżej temu, który rozłił ogień nieznanych uczuć w piersi Heleny. Pan Witold Leśniowski przedstawia typ bardzo ujemny. Zepsucie moralne silnie zgangrenowało pierś młodziana. Podobny on był do pięknej rośliny, która pod zewnętrznym powabem kryje jad zabójczej trucizny. Bohater nasz był w samej rzeczy pięknym bardzo młodzieńcem; ale w duszy jego legła się gądzina najniższych popędów. Bezezynna wegetacja i używanie darów bożych, stanowiły wyłączny cel jego życia. Marnotrawstwo, hulanka i kobiety wypełniały je całkowicie. To też korzystał z każdej sposobności, jaka mu się w tym względzie nadarzyła. Zdolny był z największą bezczelnością, kłamać miłość szczerą i gorącą. Odepchnięty przez dumną emancypantkę, pannę Emilię Zubrowską, zwrócił się do podstarzałej mężatki pani Klaudyny. Ale wnet opuścił ją dla smaczniejszego kąska, którym była właśnie bohaterka nasza. Kłamanem więc wyznaniem miłości przed ślubem jeszcze zatlił pierwszy płomyk uczucia w naiwnej duszy dziewczęcia, pragnąc tym sposobem nabyć praw *przyjaciela domu* po ślubie. Niepomny na serdeczną przyjaźń, jaką okazywał mu stary towarzysz zmarłego ojca, wdziera się z niecnym zamiarem do domu p. Zaborskiego, usiłuje skałać świętość domowego ogniska i zatruć życie zacnego człowieka. A przystępuje do tak niecnym zamiarów z zimnem wyrachowaniem, bez iskry serdeczniejszych uczuć. Nie zraża go zimna obojętność którą bohaterka nasza pragnie się ostonić przed pociskami młodzieńca. Pełen próżności i wiary w swe siły, zmierza szybko do celu, nie wątpiąc ani na chwilę o zwycięztwie. Ale Helena pokazuje się niezwalczną. Wsparłszy się na ramieniu zacnego męża, stoi walecznie na straży domowego ogniska. Wreszcie Witold zdobywa się na krok stanowczy; wyrzucił kłamane uczucia. Helena z dumą odrzuciła go od siebie. Wierząc w szczerość uczuć młodzieńca, spełnia czyn prawdziwie bohaterski. Zbyt długie są dzieje walki, jaka toczyła się w piersi nieszczęsnej kobiety, abyśmy szczegółowo opisać ją mogli. A widzimy tu różnorodne fazy, zręcznie nader pochwycone

i z głęboką prawdą psychologiczną skreślone.

Wreszcie bohaterka nasza odzyskuje straconą wolność. Zrosiwszy łzami szczerzego żalu grób człowieka, którego postać pozostaje dla niej na zawsze świętą relikwią przeszłości, przywdziewa żałobne szaty. Zdawałoby się, że teraz nastąpi już rozwiązanie, że wolna od krepujących ją więzów rzuci się w objęcia ukochanego. Ale oto prócz świeżej mogiły stanęła między nimi silna zaporą. Helena odkryła nicość moralną Witolda, i skoro ten w celach finansowo-matrymonijalnych oświadcza się bogatej dziedziczce, odrzuca go z pogardą, i zamyka mu na zawsze wstęp do swego domu. Fakt ten sprawia dziwny zamęt szybkie odrodzenie w duszy młodzieńca. Wprowadzwszy w tę nową fazę swego bohatera, autorka schodzi z drogi prawdy psychicznej, wpada w błędne rozwiązanie sytuacji. Nagłe odrodzenie się Witolda nie opiera się silnie na gruncie psychologicznym. Przytem dziwnie okupuje on błędy przeszłości. Oto rzuca się nagle na pole literatury i zacnymi a serdecznymi myślami, które wypowiada w krytykach, feljetonach i innych pracach piśmienniczych, zjednywa sobie przebaczenie. Młodzieńcowi, niezdolnemu do żadnej pracy, każe autorka być literatem i nauczać prostaczków. Mały komplement dla piśmienniczej rzeszy!

Odniosła więc bohaterka nasza dwa zwycięztwa: jedno nad uczuciami swemi, drugie nad upadłym człowiekiem, odrodziwszy go do nowych pragnień życia! Jednakże pierwsze tylko zwycięztwo poczytujemy za zasługę autorce; drugie z przyczyny swej nie naturalności stanowi ujemną stronę utworu. Śmiemy sądzić że lepiejby może było, gdyby autorka wybrała na bohatera powieści postać dodatnią. Walka byłaby równie dramatyczną, a pierwsze zwycięztwo dostatecznem dla uwieńczenia bohaterki utworu prawdziwie poetyczną aureolą.

Drugorzędne postacie w powieści [p. Z. K. skreślone są z prawdziwym artyzmem i głęboką prawdą życiową. Dzielnym jest typ emancypantki Emilii, młodego doktora — kobiety. Dziwimy się tylko, że skreśliwszy podobną postać i dozwoliwszy jej dojść do szlachetnego celu, w nieprzychylnem i w ogóle nie jasnem świetle przedstawia autorka sprawę wyzwolenia kobiecego. Postać Emilii przedstawia się z początku w bardziej ujemnych barwach.

Całe przeprowadzenie sytuacji, grzeszy nieco brakiem artystycznego obrobienia pojedynczych obrazów, pewnem niewykończeniem w częściach a niekiedy i usterkami stylowymi. Szczególniej dyalogi zbyt mało są ożywione. Lecz oryginalne nader postawienie kwestyi i głęboko a subtelnie skreślony proces psychologiczny, sowiec wynagradza te drobne usterki.

Ant. Pilecki.